Nr. 47.

PRACA

Rok III.

Dodatek handlowo-przemysłowy i rolniczy.

Urzędowy organ informacyjny dla Towarzystw i Spółek.

Telefon Nr. 295. Właściciel i Wydawca: Marcin Biedermann. Adr. tel.: „Praca“ Posen.

Wszelkie korespondencye należy adresować: „Do Redakcyi „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ulica Nr. 38.

Rothschild.

O dawniejszej dzielnicy żydowskiej w Frankfurcie mówił Goethe, że to jest „ciasna, ciemna, brudna ulica, o czarnych, zadymionych domach z wytłuczonemi oknami.“ Na tej ulicy żydowskiej stał więc dom, ozdobiony czerwonym szyldem, a z tym szyldem łączy się nazwisko rodziny, której przeznaczeniem było stać się jedną z najbogatszych w świecie. Dynastya zupełnie nowego rodzaju miała wyjść z tego nędznego mieszkania.

Niejakiś Moses Amschel, handlarz starożytności i numizmatyki, zarabiał ciężko pieniądze jako handlarz wędrowny. O nim to opowiadają fakt, dowodzący niezmiernej jego ostrożności. Otóż raz spotkał w podróży żyda, trudniącego się takim samym, jak on handlem, ale trochę bogatszego, bo będącego właścicielem osła. Na uprzejme wezwanie współwyznawcy, zdjął tobołek z pleców i obarczył nim osła. Ale gdy się zbliżyli do przepaści, na której most z kilku tylko słabych składał się desek, zatrzymał się Amschel, zdjął swoją pakę z osła i rzekł do śmiejącego się towarzysza:

— Bywają czasem nieszczęśliwe wypadki w takich miejscach, a ponieważ paczka ta całym moim jest majątkiem, przeto nie dziw się, że jestem ostrożnym.

I przeczucie nie omyliło go — osieł bowiem i właściciel jego runęli w przepaść.

Syn Mosesa, Meyer Amschel, urodził się w r. 1743. Przez rodziców przeznaczony na rabina, został wysłanym do Fürth na kursa teologiczne, ale do zawodu swego żadnego nie czuł powołania. Lubił on więcej zbierać stare medale i monety i handlować niemi i tym sposobem zawarł znajomość z badaczami starożytności, którzy potrafili ocenić jego rozum i bystrość, i wystarali mu się dla niego o miejsce w banku Oppenheimera w Hanowerze. Meyer był tam kilka lat, a ponieważ był cichym, skromnym, i pracowitym, pozyskał sobie szacunek wszystkich towarzyszy i przełożonych. Zebrawszy trochę pieniędzy, zaczął interesa na własny rachunek, handlując zawsze jeszcze staremi monetami. Nabywszy wiele doświadczenia i znajomości rzeczy, rozszerzył handel na inne przedmioty sztuki starożytnej i wypożyczał pieniądze na fanty aż do czasu, kiedy zaczął wyłącznie zajmować się operacyami bankowemi.

On był także tym, który kupił w Frankfurcie, w dzielnicy żydowskiej, dom z czerwonym szyldem, a gdy się do domu tego wprowadził, przybrał jego nazwisko, t. j. Rothschild. Żoną jego była Gudula Schnappe, matka przyszłych Krezusów, ale pomimo olbrzymich bogactw, jakie synowie jej gromadzili, nie chciała ona nigdy opuścić domu o czerwonym szyldzie i przenieść się do wspaniałych pałaców. Mieszkała w domu tym aż do roku 1849 i umarła, mając lat 96.

Meyer Amschel Rothschild znanym był ogólnie nietylko jako dzielny kupiec, ale i jako uczciwy człowiek. Umiał on zjednać sobie zaufanie kurfirsta Hessen-Kasselskiego, Wilhelma IX, który posiadał kosztowne zbiory klejnotów i drogich kamieni. W r. 1806 odebrano małym książętom niemieckim ich państwa, równocześnie zaś zalały wszystkie te kraje wojska Napoleona. I Wilhelmowi IX oznajmiono smutną nowinę zabrania jego państwa, i wtedy to kazał książę natychmiast przywołać potajemnie Mayera Amschela na swój zamek. Od tej chwili rozpoczyna się wielkość i bogactwo domu Rothschildów.

Bliższe szczegóły tego wypadku mało dotąd były znane, dopiero baron Marbot daje nam w swoich pamiętnikach niejedno objaśnienie. Posłuchajmy więc jego opowiadania:

„Wilhelm IX, jeden z najbogatszych kapitalistów Europy, był zmuszonym do ucieczki do Anglii i nie mógł w żaden sposób zabrać wszystkich swoich skarbów. Posłał przeto po bankiera frankfurtskiego, żyda, nazwanego Rothschildem, który to bankier nie wielkie miał znaczenie, ale do którego kurfirst wiele miał zaufania i powierzył mu 15 milionów talarów gotówki. Procenta kapitału tego miały należeć do bankiera, który zobowiązał się jedynie do zwrotu kapitału.

Gdy wojsko francuzkie zajęło zamek w Kassel, skonfiskowali urzędnicy finansów bardzo kosztowne przedmioty, mianowicie obrazy, ale pieniędzy nie znaleziono ani grosza. Zdawało się jednak niemożliwem, aby książe miał był zabrać cały swój ogromny majątek, że zaś podług praw wojennych wszystkie znalezione pieniądze należą do zwycięzcy, przeto usiłowano koniecznie się dowiedzieć, co się stało z skarbami księcia. Poszukiwania wykazały, że książę bezpośrednio przed swoją ucieczką, miał długą rozmowę z Rothschildem, dla tego więc postanowiono wysłać zaraz pełnomocnika cesarskiego do domu owego żyda, aby zrewidować jego książki i kasę. Ale gdy ani groźby ani prośby nic nie pomogły, kazał pełnomocnik żydowi złożyć przysięgę, będąc przekonanym, że człowiek tak pobożny, jak Rothschild nie wykona krzywoprzysięstwa. Żyd wzbraniał się stanowczo spełnić ów rozkaz, a cesarz dowiedziawszy się o tem, nie pozwolił go nawet uwięzić, wiedząc, że i to na nic się nie przyda. Ponieważ jednak urzędnicy bądź co bądź chcieli skarb ów zdobyć, przeto użyli podstępu nie bardzo honorowego: otóż nie mogąc złamać oporu żyda, chcieli go ująć obietnicą wielkiego zarobku, i ofiarowali mu połowę skarbu, jeżeli im go wyda, zato chcieli mu dać pokwitowanie, z otrzymania całej sumy i piśmienne oświadczenie, że uległ przemocy. Miało go to zabezpieczyć przed gniewem kurfirsta. Ale uczciwość żyda zwyciężyła wszelkie pokusy, i teraz nareszcie zostawiono go w spokoju.

Owe 15 milionów więc zostało w jego posiadaniu od r. 1806 do r. 1814, t. j. aż do upadku cesarstwa francuzkiego.

W tym roku wrócił Wilhelm do Kassel i odebrał cały swój skarb nienaruszony. Ale czy można mieć wyobrażenie, jakie olbrzymie sumy przyniósł ów kapitał w rękach żydowskiego bankiera? I odtąd zaczynają się owe bajeczne bogactwa w domu Rothschildów, mających za podstawę uczciwość starego Meyera Amschela!

Z tem wszystkiem Meyer Amschel nie zdołał już sam oddać księciu powierzonych sobie pieniędzy, uczynił to syn jego Nathan. Stary Meyer bowiem umarł w r. 1812, a przed śmiercią zwołał swoich pięciu synów, Anzelma, Salomona, Nathana, Jamesa i Karola, i rzekł im:

„Zostańcie zawsze wiernymi prawom Mojżesza, kochajcie się nawzajem, nie róbcie nic bez zezwolenia waszej matki, a jeżeli wypełnicie te trzy rozkazy, to będziecie bogatymi pomiędzy bogaczami i świat do was należeć będzie.“

Trzeba przyznać, że w tych słowach umierającego leży głęboka prawda i proroctwo, bo wszystko spełniło się najzupełniej.

Po śmierci ojca rozeszli się synowie jego po świecie, chociaż zawsze byli z sobą połączeni serdeczną miłością; Salomon udał się do Wiednia, Nathan do Londynu, James do Paryża, Karol do Neapolu, podczas kiedy Amschel, czyli Anzelm został w domu rodzinnym, w Frankfurcie.

Pięciu tych Rothschildów ukazuje się równocześnie na pięciu wielkich targach pieniężnych Europy. Silni jednością, majątkiem, opinią ojca, mogli korzystać z każdej pomyślnej sposobności, a stosunki polityczne bardzo im sprzyjały.

Nathan więc poszedł do Londynu. On to, jak wspominaliśmy, oddał księciu Wilhelmowi owe 15 milionów, ale już od r. 1806 miał je w swoich rękach. I rządził niemi tak dobrze, że książe darował mu za to cały sklep wina i mnóstwo kosztownego płótna. Nathan był bezwątpienia najoryginalniejszym z wszystkich Rothschildów. Obojętność, a raczej pogarda, z jaką weterani giełdy londyńskiej traktowali nowicyusza, ustąpiła wnet zdumieniu, gdy zauważono, że w przeciągu 5 lat obrócił on swój kapitał 2500 razy, że zaprowadził służbę kuryerską, że wydał kolosalne sumy na zakupienie gołębi pocztowych, i że wymyślał coraz to nowe środki, aby otrzymywać jak najprędsze i najpewniejsze sprawozdania giełdowe.

Do najszczerszych jego przyjaciół należał książe Wellington. Pieniądze żyda pomogły mu do zwycięzenia Napoleona i do posłania go jako jeńca na wyspę Elbę. Przez długie lata dostarczał Nathan księciu pieniędzy, a interes ten przyniósł mu czystego zysku 1,200,000 funtów szterlingów, czyli 24 milionów marek. Tymczasem powrót Napoleona wstrząsnął całą Europę i barometr giełdowy wskazywał na burzę. Wellington udał się natychmiast do Brukseli, aby stanąć na czele wojska angielskiego, a przyjaciel jego, Nathan, wiedząc, że losy Europy zależeć będą od pierwszej bitwy, podążył za nim. Pod Waterloo znajdował się ubrany skromnie, w świetnym orszaku generałów sztabowych i nie opuszczał ani na chwilę pola bitwy, zwracając trwożne pytania już to do barona Vincent, już to do księcia Pozzo di Borgo, już to do innych, nad wieczorem zaś zaczął razem z innymi zupełnie tracić odwagę. Ale zaledwie ujrzał Blüchera, spieszącego na pomoc, spiął swego konia ostrogami, popędził do Brukseli, rzucił się do powozu, i bez chwili wytchnienia stanął nazajutrz rano w Ostendzie.

Morze strasznie było wzburzone. Żaden z rybaków nie chciał go przewieść, daremnie dawał Nathan 500, 800 i 1000 franków, nikt dla pieniędzy nie myślał narażać życia na pewną zgubę. W końcu jednak suma 2000 fr. nakłoniła jednego z rybaków do przewiezienia go — pieniądze te dał Nathan żonie biednego, który nie miał nadziei powrotu. Ale zaledwie odbili od brzegu, uspokoiło się morze i wieczorem jeszcze tego dnia, wylądował śmiały żyd w Dowerze. Nie tracąc czasu, najął konie, a nazajutrz rano ujrzeli go bankierzy na giełdzie, na zwykłem miejscu, bladego, zmieszanego, blizkiego zemdlenia. Z powodu krytycznych stosunków politycznych było usposobienie giełdowców bardzo przygnębione, widząc zaś zmienioną twarz Rothschilda, o którym wiedziano, że wrócił z Brukseli, ogarnęło wszystkich jeszcze większe przerażenie. Zaczęto więc na gwałt sprzedawać papiery po bajecznie nizkich cenach — i tylko kilku agentów kupowało je, ile się dało. Uważano ich naturalnie za szalonych, tem więcej, że jeden z bankierów twierdził, że Napoleon bitwę wygrał. Nazajutrz dopiero po południu przyszła wiadomość o zwycięztwie sprzymierzonych i wtedy, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmieniło się położenie rzeczy na giełdzie. Teraz też wydało się, że sprzedawane wczoraj za bezcen papiery kupili agenci Nathana, którzy w przeciągu 30 godzin zarobili przeszło 30 milionów franków. Wszyscy spekulanci ukorzyli się wobec takiej przebiegłości i odtąd stał się Rothschild prawdziwym ich bożkiem! Może być, że niektórzy ludzie nazwaliby manipulacyą taką inaczej, ale...

Tem jednem coup zdobyli sobie Rothschildowie sławę całego nieomal świata i w państwie finansów najpierwsze zajęli stanowisko. Od roku do roku mnożyły się ich bogactwa, w niesłychany sposób, a wpływ ich zwiększał się coraz to więcej na wszystkich polach towarzyskiego życia. Czy na dobro ludzkości, czy na złe — tego badać nie chcemy.

Mercator.

Przetwory owocowe.

Ogrodnictwo nasze stanowczo nie doszło jeszcze do tego ekonomicznego znaczenia, jakie mu się słusznie należy, a jakie już oddawna przypisują mu nietylko ekonomiści, ale i rolnicy zagraniczni. Gdy my zatem patrzymy jeszcze na sad, jako na ozdobę naszej siedziby, jako na przyjemność z posiadania w danym razie owocu, a w końcu dopiero, jako na źródło jakiegoś niedużego dochodziku, który nam raczy dać jego pachciarska mość, to za granicą nikt by już sadu nie wydzierżawiał.

Za granicą, we Francyi naprz., sad to takie same dobre źródło dochodu rolnika, jak pole pszeniczne; w kraju tym i w wielu innych ogrodnictwo jest tak dobrym zawodem, jak naprzykład rolnictwo, budownictwo, handel — ba, nieraz nawet lepszym. Wszak bez przesady żadnej statystyczne dane Francyi wykazują ogrodników, pracujących na jednym morgu ziemi, który im daje po 20 do 30,000 mrk. dochodu ogólnego, a po 5 do 8,000 czystego dochodu.*) Francuskie obliczenie urzędowe za rok 1882 wykazuje, że z produktów ogrodniczych, za wyłączeniem roślin oleistych i włóknistych, kraj ten osiągnął 4 miliardy 272 milionów franków. Stanowi to cztery piąte części dochodu z ziarna, a trzecią część ogólnego dochodu, jaki ma Francya z roli, łącznie już z uprawą wina, oraz lasów. Ten ostatni dochód statystyka r. 1882 ocenia na 11 miliardów 502 milionów franków.

A oto dane z innej dziedziny przemysłu, który jednak źródło swoje ma w ogrodnictwie. Wiadomo, jak powszechnem we Francyi jest użycie sidru, jabłecznika. Powstały tam całe zakłady, ogrodnicy i włościanie zawiązali wiele spółek, które sidr produkują, powstało tam wielu specyalistów techników, którzy jako wędrowni departamentalni instruktorzy jeżdżą po kraju nauczać, jak się sidr robić powinno, a czego przy produkcyi jego unikać należy... W Bretanii, Normandii i w Szampanii najwięcej produktu tego wyrabiają.

Dane statystyczne z r. 1880 świadczą, że we Francyi wytworzono w tym roku sześć milionów hektolitrów sidru (hektolitr — 25 garncy naszych). W r. 1885-ym produkcya wynosiła do 20 milionów hektolitrów, a w r. 1893 do 31 milionów.

Nie tylko Francya produkuje sidr. Znaczną ilość napoju tego wyrabiają

około Frankfurtu nad Menem i w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej.

Obok produkcyi sidru i wyrób innych przetworów owocowych szerokie ma zastosowanie we Francyi, w Niemczech, wreszcie w Rosyi. Rozejrzyjmy się po naszych składach, sprzedających susze i słodycze owocowe, a przekonamy się z żalem, że towaru krajowego nie znajdziemy tu, z wyjątkiem może powideł.

To złe musi się zmienić na lepsze. Żeby ta zamiana nastąpić mogła, musimy się uczyć robić rzecz dobrze, mianowicie trzeba, ażeby ogół nasz o wiele poważniej patrzył na sad, jego wydajność i dochody, które mogą się podnieść w miarę bardziej programowego i konsekwentnego kierowania sprawy, a niewątpliwie i my, jak Francya, owe miliony z sadów wyciągniemy. Trzeba się tylko spieszyć... i baczność! bo i w Niemczech, i we Francyi i w Stanach Zjednoczonych z każdym rokiem sadownictwo i przetwory owocowe olbrzymie czynią postępy. Czyżbyśmy na to byli w środeczku, żeby na nasze podwórza sąsiad ciskał swoje owoce? On je ciskać będzie, jeno my do niego pieniądze swoje za te jego owoce lub przetwory z nich wyrzucać będziemy musieli, jak to zresztą już czynimy.

M. Malinowski.

*) Są może i u nas tacy, ale ich na palcu jednej ręki policzyćby można. Przyp. Red.

Nowoczesne budowle gospodarcze.

Budując stajnie, stodoły i t. p. używamy zawsze prawie podług starego zwyczaju kamieni łamanych lub cegły pomimo, że materyały te są drogie i że zwożenie ich wymaga dużo czasu i kosztu. Ale ponieważ niektórzy rolnicy zwrócili się w ostatnich czasach do tańszej budowli, t. zw. Pisé, przeto nie będzie od rzeczy przyjrzeć się bliżej nowemu, a tańszemu sposobowi budowania. Jak to wszędzie na stajniach, oborach i t. p. widać, osiada na powierzchni cegły lub kamieni, silny wyrzut, t. zw. rak murów, który ogarnia zwolna cały budynek. Jest to bardzo niekorzystnym wynikiem hygroskopicznej własności kamieni, a nadto błędnego założenia ścian zewnętrznych. W Szwajcaryi i we Francyi spotykamy często przebudowane budynki, gdzie materyał budowlany nie jest ani cegłą ani kamieniem, tylko żwirowym betonem. I teraz wchodzi beton coraz więcej w używanie, nietylko dla taniości materyału, ale dla większej trwałości. Tak jak stawiają z betonu mniejsze i większe domy mieszkalne, tak i budynki gospodarcze można stawiać z betonu, i materyał ten ma wielką przyszłość. Dodać jeszcze należy, że beton stawia silniejszy opór potędze ognia, niż żelazo, a konstrukcya dachów i piętr może także być betonową. Z tego powodu byłyby wszystkie budynki o wiele tańsze, i trwalsze, a to przecież najważniejsze.

Architekt.

Spółka „Kupiec w Brusach“.
(Prusy Zachodnie.)

Na sejmiku Związku Spółek zarobkowych, który się w końcu września r. b. odbył w Poznaniu, podał kierownik Spółki „Kupiec w Brusach“, ks. Bolt wiele ciekawych i zajmujących szczegółów o tej Spółce.

Spółka założoną została dopiero 24 Stycznia 1898 r. i poszczycić się może już dziś znakomitemi rezultatami. Zajmuje się handlem bławatów, towarów krótkich, a teraz także porcelaną i szkłem, który to handel w Brusach i okolicy znajdował się dotąd wyłącznie w ręku obcych.

Obowiązkowy udział członków wynosi 10 m., wolno mieć 700 udziałów. Kwota odpowiedzialnościowa wynosi 10 mrk. od każdego udziału. Rozwój Spółki jest świetny. W pięciu kwartałach swego istnienia pozyskała 1943 członków, a interesa prowadzone na zdrowych zasadach kupieckich taki wykazują zysk, że się Spółka nie może opędzić takim ludziom, którzy chcą do niej przystąpić tylko dla wysokiej dywidendy. Dała bowiem w pierwszym roku istnienia 10 proc., w tym roku da 8. Kapitału udziałowego ma 100,000 marek, wartość towarów przenosi sumę stu tysięcy marek. Cztery domy, które Spółka nabyła dla handlów swoich w Brusach, Śliwicach, w Wielu i Zblewie mają wartość 57,000 m. W krótkim czasie swego istnienia zdołała odnośny handel wyrwać z rąk wyzyskiwaczy naszego ludu, któremu daje towar po cenach bardzo umiarkowanych. Towary sprowadza tylko za gotówkę. O znakomitym rozwoju Spółki świadczy wymownie fakt, że w 5 kwartałach swego istnienia po opłaceniu wszystkich kosztów handlowych, nabyciu domów, wypłaceniu dywidendy w wysokości 10 procent i wyznaczeniu jeszcze kilku set marek na cele dobroczynne, mogła 15,000 marek oddać do funduszu rezerwowego, w tym roku odda może do tego funduszu około 20 tysięcy marek.

Vivat sequens! *D.*

Poradnik prawny.

Natychmiastowe wydalenie z miejsca z powodu nieudolności. Szef pewnej firmy w Essen, wydalił jednego z swych pomocników handlowych, który się codziennie mylił w rachunkach i dla tego szkodził interesowi. Jako powód podał szef: „niezdatność do wypełniania przyjętych na siebie obowiązków.“ Pomocnik handlowy zaskarżył szefa, i sądy okręgowy i ziemiański w Essen skazały pryncypała na płacenie pensyi pomocnikowi aż do rzeczywistego czasu wypowiedzenia miejsca, bo pryncypał nie mógł udowodnić, że niedokładne wypełnianie obowiązków pomocnika miało za podstawę złośliwość lub lekkomyślność. Sąd ziemiański orzekł wyraźnie, że brak żądanych zdolności jest tylko powodem do wypowiedzenia miejsca, nie zaś do natychmiastowego wydalenia, i zdanie to zyska zapewne wszędzie zupełne uznanie.

Prawo zabijania polujących psów. Każdy myśliwy czuwa starannie nad swojem polem i chroni zwierzynę od niebezpiecznych nieprzyjaciół, do których obok drapieżnych zwierząt i ptaków należą psy polujące. To też niejeden myśliwy był już zaskarżonym o zabicie cudzych psów polujących i musiał wskutek tego prowadzić długie procesy. Niedawno odbywał się znowu taki proces o odszkodowanie przed sądem nadziemiańskim w Berlinie. Skarżący pan S., przejeżdżał na kole drogą, wiodącą przez terytoryum polowania pana W., towarzyszył mu zaś pies, za którego zapłacił 500 mk. Pies, przestraszony podobno nadjeżdżającym wozem z ciężarami, wbiegł na pole i zaraz potem został zastrzelony przez pana W. właściciela owego terytoryum. Rozstrzygnięcie procesu zależeć będzie od wykonania albo niewykonania przysięgi pozwanego. Jeżeli pan W. przysięgnie, że spotkał psa na polu, biegnącego z spuszczoną głową w przeciwnym kierunku, w jakim pan jego jechał, w takim razie skarga pana S. zostanie odrzuconą.

Nie mamy zamiaru krytykowania wyroku, pragniemy tylko w interesie tych, którzy mogą znaleść się w położeniu, zastrzelenia cudzego psa, zestawić z wyroków stosunki, w jakich prywatny myśliwy może zabić cudzego psa, bez narażenia się na karę i obowiązek odszkodowania.

Podług prawa więc wolno temu, który jest właścicielem lub dzierżawcą terytoryum polowania zabić cudzego psa, naturalnie tylko w obrębie swego pola. Może też do tego upoważnić każdego, nietylko swego służącego lub strażnika, ale na to potrzeba osobnego pozwolenia, bo samo pozwolenie polowania innym nie wystarcza.

Zabijać wolno jedynie psy, które nie są związane (skneblowane) tak, że nie mogą zwierzyny wytropić i gonić. Czy pies ma kaganiec, czy nie, to wszystko jedno, bo kaganiec nie przeszkadza w niepokojeniu zwierzyny. Ale psów nieknoblowanych, a znajdujących się pod bezpośrednim dozorem człowieka, zabijać nie wolno.

Prawo zabijania cudzych psów jest równem dla psów wszelkiej rasy, tylko dla wyżłów i innych psów, używanych do polowania, istnieje wyjątek. Jeżeli podczas polowania wbiegną psy goniące zwierzynę, na sąsiednie terytoryum, to właścicielowi lub dzierżawcy tegoż zabić ich nie wolno, ale psy muszą natychmiast być odwołane. Skoro jednak ktoś, nieupoważniony do polowania, poluje, i prowadzi ze sobą psa niesknoblowanego, który przechodzi za zwierzyną na obce terytoryum, wtedy wyjątek ów zastosowanym być nie może, tak samo, jeżeli myśliwy, nie polując, ma psa ze sobą, który biega na cudzem polu.

Prawa to będzie trwało i po r. 1900.

Prawnik.

Drobne wiadomości.

Rolnictwo.

Taterka zawsze jeszcze za mało bywa u nas uprawianą, a przecież roślina ta zadawalnia się i najlżejszą nawet rolą. We Francyi i w Belgii używają gospodarze taterkę jako

paszę dla bydła i dla drobiu, mianowicie dla tuczenia drobiu. Taterczana mąka pomieszana z mlekiem, jest znakomitym środkiem tuczenia, kwiaty zaś taterki prawdziwą są śpiżarnią dla pszczół. Francya produkuje rocznie przeszło 9,000,000 hektol. czystego ziarna taterczanego, Niemcy tylko 1,000,000 hektol. Z jednego hektaru zbierają Francuzi 10—17 hektol. ziarn.

Racyonalne mierzwienie łąk wydaje nietylko więcej siania, ale nadto polepsza wartość i pożywność jego. Doświadczenia wykazały, że odpowiednie pielęgnowanie łąk pomnaża w trójnasób zbiory. I tak zebrano z łąki niemierzwionej, z 1 hektar. 46 centn. siana, z mierzwionej zaś kainitem i tomasówką, 145 cent. siana z 1 hekt. Widać więc, że wszelkie koszta opłacają się sowicie.

Wysiew jesienny koniczyny korzystnym jest na suchej ziemi. Czerwoną koniczynę siać więc rychłą jesienią pomiędzy żyto. Jeżeli jednak ziemia jest wilgotna, lekka, w takim razie siać koniczynę dopiero na wiosnę, inaczej wymarzłaby zupełnie.

Ziarnka zboża do siewu powinny być zawsze młócone cepami. Maszyna psuje za wiele ziarnek, i ztąd trzeba ich mieć o wiele więcej, jeżeli wysiew nie ma być lichym.

Hodowla zwierząt.

Podściełka torfowa jest najodpowiedniejszą dla kurników. Wciąga ona w siebie wilgoć, nie ma żadnego zapachu i jest bardzo dobrym środkiem desinfekcyjnym. Kłaść trzeba podściełkę tę na 5 cm. wysokości, wyrzucać codziennie nieczystość i wyczyścić raz w tydzień gruntownie cały kurnik. Wyrzuconą podściełkę pomieszać z innem nawozem i użyć jej do mierzwienia zagonów w ogrodzie.

W śpichlerzach w Chicago leży obecnie 168,000,000 jaj. Ponieważ jaja w sztucznie chłodzonych miejscach mogą się bardzo długo przechowywać, przeto zabrali się Amerykanie do tej najnowszej spekulacyi. Wkrótce więc ukażą się na naszych targach amerykańskie jaja.

Drób.

Handel jajami. W jednym z angielskich dzienników czytamy co następuje: Wywóz jaj z Niemiec i Rosyi podniósł się ogromnie w przeszłym roku. W r. 1880 wwieziono do Ameryki jaj za 14 milionów marek, w r. 1889 za 40 milionów, w r. 1898 za 68 milionów. Z Rosyi wywieziono na cały świat nieomal w r. 1881 jaj za 1 milon marek, w r. 1894 za 36 milionów, a w 11 miesiącach r. 1898 za 72 miliony. Hodowla kur dochodzi w Rosyi do olbrzymich rozmiarów. Transport jaj odbywa się kanałem cesarza Wilhelma aż do Hamburga okrętem, bez przeładowania, z Hamburga zaś do Anglii, Belgii, Holandii, i do Francyi. W krótce stanie się Rosya największem targowiskiem na drób i jaja. Jeżeli wywóz będzie się dalej rozwijać z równem powodzeniem, to w przeciągu 10 lat będą w całej Europie jaja rosyjskie. Amerykanie niechętnie patrzą na to, ponieważ i w Ameryce zakładają teraz hodowlę kur na wielką stopę, i wywożą już znaczną ilość jaj do Europy.

Skoro w kurniku wybuchnie jaka zaraźliwa choroba, to chore kury natychmiast zabijać trzeba. Tym tylko sposobem można uratować te, które jeszcze są zdrowe. Kurnik należy wyczyścić i desinfekcyować.

Warzywo.

Marchew przechowuje się najlepiej w ten sposób, że układa ją się w sklepie w stosach, w kształcie piramidy — korzeniem do środka, a sercem na zewnątrz. Tak samo postępować należy z pietruszką. W tym celu używać wilgotnego piasku, którym przesypywać pojedyńcze warstwy marchwi lub pietruszki.

Jarmuż może zostać przez całą zimę na zagonie trzeba go jednak okryć, aby nie zmarzł. Jeżeli tego uczynić nie można, to przenieść go do jasnego, suchego sklepu, który trzeba przewietrzać jak najczęściej. W dnie słoneczne odkryć jarmuż, stojący na zagonie, oberwać żółte lub zgniłe liście i przykryć go znowu.

Ogród owocowy.

O sadzeniu drzew owocowych w jesieni. Zanim się kto zabiera do sadzenia drzew owocowych, powinien się dokładnie przekonać, czy ziemia, na której mają być sadzone, posiada wszystkie warunki, zapewniające drzewom pomyślne rozwijanie się. Widzimy nieraz całe rzędy drzew owocowych, rosnących zupełnie krzywo, są bowiem na miejscu wystawionem zanadto na wiatr. Takich miejsc trzeba unikać mianowicie dla jabłoni, których korzenie nie idą głęboko w ziemię, tylko rozrastają się więcej płasko. Jabłoń potrzebuje dobrej, pożywnej, miernie wilgotnej ziemi. Gruszka mniejsze ma wymagania — delikatniejsze gatunki gruszki potrzebują ciepłego położenia i również ziemi wilgotnej. Korzenie jej wrastają głęboko i prostopadle, więc na miejscach wystawionych na wiatr, sadzić lepiej grusze, niż jabłonie. Wielkim też błędem jest sadzenie drzew w zbytniej pomiędzy sobą blizkości. Nad drogami powinny drzewa stać w odległości 12 metrów, na polach zaś w 12—14 metrów. Na ziemi mniej dobrej, gdzie drzewa nie wyrastają tak wysoko, można je sadzić ciaśniej. — Która pora jest stósowniejszą do sadzenia drzew, jesień czy wiosna, to zależy od ziemi, w każdym razie na ziemi lekkiej i ciepłej korzystniej jest sadzić na jesień. Tylko w klimacie ostrym i na ziemi ciężkiej i zimnej sadzić trzeba na wiosnę. W końcu październik, gdy z drzew opadną liście, trzeba się zabrać do dzieła. Na korzeniach tworzy się jeszcze przed nadejściem ostrych mrozów callus, co bardzo jest dla drzewa korzystnem.

Handel i przemysł.

Czernidło na skórę. Zamiast dawniejszego czernidła, odznaczającego się bardzo nieprzyjemnym zapachem, można mieć czernidło lepsze i tańsze, podług następującego przepisu: Wziąść 150 gr. sproszkowanego galasu, 10 gr. witryolu czarnego albo zielonego, 60 gramów kandisu, 15 gramów ałunu, $^1/_4$ litra octu, pełną łyżkę soli kuchennej i rozpuścić to wszystko w 4 litr. destylowanej wody. Potem przegotować wszystko razem wolno, wystudzić i przelać masę przez płótno. Jest to bardzo dobre czernidło, które nic skórze nie szkodzi.

Kit, opierający się wyższej temperaturze, robi się jak następuje: zmięszać 2 części boraksu, 10 części oksyd. cyn. i 21 części sproszkowanej magnezyi z rozczynem „Wasserglas“. Jestto gęste ciasto, ale kit taki musi być natychmiast użytym, bo twardnieje prędko.

Telefony bez drutu. Od telegrafów bez drutu do telefonów bez drutu niedaleka jest droga. W Anglii czyniono już próby telefonowania na dwie mile odległości i rozmowa była zupełnie jasną i wyraźną. Anglicy zamierzają próby te powtórzyć i zastósować do większych odległości.

Szkodliwy wpływ fabrycznych ścieków dla rybołówstwa. Z Głogowy donoszą, że ilość ryb w starym porcie zmniejszyła się znacznie przez założenie na brzegu parowej farbierni. Rybacy z nad Odry żalą się również na znikanie ryb, spowodowane prawdopodobnie przez odpływy nowozałożonej cukrowi Dolna Zarkau.

Kołownictwo.



Kołownicy paryzcy oddawają koła swoje na całą zimę lombardom. Pedały zostają odszrubowane, i przymocowane do ramy, rzeczoznawca ocenia koło, właściciel jego otrzymuje oznaczoną sumę i kwit lombardowy, i koło udaje się na spoczynek zimowy. Zarząd lombardu „Mont de Piété“ kazał w tym celu zbudować osobny gmach. Pokoje, w których koła stoją, utrzymywane są w wzorowym porządku i czystości, wszystko tam jest z żelaza i szkła. Około Wielkiejnocy odbierają kołownicy znowu swoją własność, czasem i nie, bo nie wszyscy mają potrzebną sumę do wykupienia koła. Te więc koła, po które nikt się nie zgłosi, sprzedaje zarząd po kilku tygodniach na licytacyi. *Z.*

Z botaniki.

Zioła lecznicze

rosnące u nas dziko i hodowane w ogrodach i na polach, ich zgromadzanie, suszenie i przechowywanie.

Opisał

Tadeusz Śniegocki.

(Ciąg dalszy.)

Przetacznik pospolity.
Veronica officinalis.

Trwała ta roślina wypuszcza corocznie z korzenia po kilka prętów po ziemi się czołgających.

Liście podłużno-jajowate, cokolwiek ostro zakończone, karbowane, włoskami pokryte.

Grona kwiatowe w rzadki kłos ułożone, stoją w kątach liści; kwiatki pojedyńcze blado-niebieskie, czasem białe, kwitną przez całe lato.

Rośnie w suchych, liściastych lasach, na odłogach, w zaroślach, nad brzegami łąk i tym podobnych miejscach. Zapach słaby, smak gorzkawy.

Sprzątać w maju i czerwcu całe zioła bez korzenia, suszyć w cieniu, w miejscu przewiewnem i przechowywać w zamkniętych pudłach.

Psianka słodko gorzka.
Solanum dulcamara.

Roślina pnąca, bardzo u nas pospolita, przydatną jest w aptekach, a oprócz tego może dawać drugi jeszcze użytek, jako wzmocnienie grobli, dla zatrzymywania bieżącej wody, sypanych.

Zasadzone roślinki na grobli, zapuszczając korzenie głęboko i szeroko w usy-

paną ziemię, umacniają w ten sposób nasypy i chronią je od przerywania.

Psianka ta ma wić pnącą, do 2 metrów długą, drzewną, z wielu wyrastającemi z niej odnóżkami.

Liście gładkie, jajowo lancetowate.

Kwiaty fioletowe, czasem białe, kwitną od czerwca do jesieni.

Owocem są jagody podługowate, soczyste, czerwone.

Sprząta się w jesieni czubki gałązek na 4—5 cali długie z liściem, a połupawszy gałązki grubsze, kraje się wszystko razem drobno i suszy najpierw w przewiewnem miejscu w cieniu, a następnie dosusza się w izbie dobrze ogrzanej.

Po wysuszeniu zsypuje się w blaszane puszki lub w szczelnie zamknąć się dające pudła drewniane i stawia w miejscu suchem, aby nie naciągały wilgoci.

Rojownik lekarski.
Melissa officinalis.

Rośnie dziko w południowych krajach i tam ma korzeń trwały; zasiany u nas bardzo dobrze się udaje i często zimę przetrzymuje.

Łodyga czworoboczna na metr wysokości dorastająca, dużo gałązek wypuszcza.

Liście na krótkich ogonkach, sercowate lub podłużno jajowatego kształtu, grube, karbowane.

Kwiaty błękitne lub białe na krótkich szypułkach, u wierzchu gałązek umieszczone.

Zapach przyjemny, orzeźwiający, przypominający zapach cytryny; smak trochę gorzki i ostry, tak samo jak skórki cytrynowej.

Liście obrywać z łodygi w czasie kwitnienia rośliny, suszyć w cieniu i przechowywać w szczelnie zamkniętych pudłach blaszanych, lub też, jeżeli można jednego większe sprzątnąć ilości, odstawiać do aptek świeże, nie czekając aż powiędną, samo się przez się rozumie, że trzeba się wprzód w aptece porozumieć i do sprzętu i odstawy odczekać dnia pogodnego.

Chcąc uprawiać rojownik u nas, trzeba wybrać kawałek roli ze spodem marglastym, położony na południe i już w kulturze będący; po dobrze obrobionem i z zielska oczyszczonem warzywie, zorać na zimę drobno a głęboko, na wiosnę, gdy rola obeschnie, zwlec ją doskonale, pociągnąć znaki o 12 cali od siebie odległe i zasiać nasienie, przykrywając je cienko ziemią, a gdy powschodzi, mieć pieczę, aby zielskiem pólko nie zarosło.

Rozmaryn zwyczajny.
Rosmarinus officinalis.

Często u nas w ogrodach i w doniczkach hodowana krzewinka ma korzeń rozłożysty, trwały, łodygę gałęzistą, porosłą liściem wązkim, a do 2 cali długim.

Liść, o brzegach przygiętych, jest pomarszczony i przez środek brózdą przedzielony, od spodu, skórkowaty, a rzadką, delikatną, białą pilśnią porosły.

Zapach mocny, korzenny.

W miesiącu marcu cieplejsze nastawać zacznie powietrze, należy ścinać krzak o 2 cale nad ziemią, oskubać i ususzone do aptek odstawiać.

W położeniu zasłoniętem od północy, można u nas rozmaryn zasadzać z gałązek, lecz tylko na bardzo żyznej, piaszczysto - spróchniałej ziemi. W roku pierwszym dać baczenie, aby rośliny od suszy nie cierpiały. Na zimę trzeba przykryć jedliną lub słomą, co na wiosnę zdjąwszy, poruszyć ziemię i chwasty niszczyć.

W roku drugim można już krzaki mocniejsze zżynać i do użytku aptekarskiego oddawać i jak dotąd tak i nadal utrzymywać plantacyą w porządku.

Rumianek pachnący pospolity.
Chamomilla vulgaris.
Matricaria Chamomilla.

Podobnych do rumianku prawdziwego innych roślin jest u nas dość dużo i zdarza się często, że dzieci, zbierające rumianek, mięszają pomiędzy rumianek pachnący inne, do rumianku tego podobne kwiatki.

Głównemi oznakami rumianku, różniącemi go od innych, podobnych roślin, są:

Liść bardzo drobny, dwa razy pierzasty, śpiczasto wcinany, bezogonkowy;

kwiat na osadzie od dołu szerszej, stóżkowatej, wewnątrz próżnej;

zapach mocny, rumiankowi właściwy: zapach ten jednakże często może powodować omyłki, przy zrywaniu bowiem palcami rumianku, palce tak mocno wonią tą przejdą, że chwyciwszy w nie główkę innego gatunku podobnego i chcąc za pomocą powonienia przekonać się, czy to rumianek prawdziwy, bardzo łatwo z przyczyny zapachu na palcach pozostałego można się omylić. Przy dłuższej jednakże wprawie i bacznej przy zbieraniu uwadze nie łatwo omyłki powinny zachodzić.

Zbierać rumianek można tylko po zupełnem obeschnięciu rosy, a zrywać tylko główki bez szypułek i zaraz tego samego dnia rozsypywać cienko na ramy podbite rzadkiem płótnem i suszyć w cieniu. Suszącego się rumianku poruszać nie należy, aby płatków kwiatowych nie obłamywać i pyłku nie otrząsać.

Rozmnażać można, zasiewając zebrane corocznie dojrzałe nasienie na ziemi odleżałej, wolnej od perzu i chwastów i nieprzykrywać ziemią, lecz wcisnąć tylko w ziemię klapą lub lekkim wałkiem.

Aby ułatwić pielenie, dobrze siać nasienie w roweczki pociągnięte znacznikiem i także tylko zaklepać lub przywałować. (Dalszy ciąg nastąpi).

Dział kobiecy.

Pawie pióra.



Pewnego dnia weszła królowa Francyi, piękna Antoinetta do swego buduaru, zamyślona i widocznie niezadowolona. Młoda monarchini nie przeczuwała wówczas jeszcze straszliwego przeznaczenia, jakie jej się miało dostać w udziale, wesoła i swobodna, jak motylek, biegła z jednej zabawy do drugiej, czarując wszystkich swym wdziękiem i prawdziwą dobrocią serca. Król i dwór cały uwielbiał śliczną i szczęśliwą królową.

Ale dziś twarzyczka jej była zachmurzona, a w wielkich, ciemnych oczach błyszczały nawet łzy. Cóż mogło taką troską napełnić jej serce? Ach, ważna sprawa, nad którą już pewnie niejedna piękna płakała kobieta, otóż kłopot o toaletę! Świetny bal miał się odbyć ku uczczeniu jednego z obcych panujących, i król życzył sobie, aby małżonka jego wystąpiła z całym przepychem, na jaki przystało żonie potężnego króla Francyi. Marya Antoinetta była wyrocznią mody dla świata ucywilizowanego, trzeba więc było wprawić w zdumienie ten świat cały. I na sztalugach wisiała wspaniała suknia z białego, złotem tkanego adamaszku, a takiej sukni nikt dotąd jeszcze nie widział. Maleńkie pantofelki na wysokich obcasach, z złoto-żółtego atłasu, stały też już gotowe, rękawiczki, wachlarz, chusteczka — wszystko leżało na stoliku. Ale najgorsza rzecz była dziś z przybraniem fryzury! Pereł i brylantów we włosach król nie lubił, kwiaty to zbyt pospolite, więc cóż było stosownego do tej przepysznej sukni? Biedna królowa od rana już myślała nad tem nieustannie, i nic wymyślić nie mogła, chwila stanowcza zbliżała się, a najważniejszej części stroju nie było jeszcze! Nie dziw więc, że piękne oczy Maryi Antoinetty napełniły się łzami, a ponieważ wiadomo, że zaczerwienione od łez oczy nie wyglądają ładnie, przeto królowa otarła je szybko i zbliżywszy się do lustra, chciała zobaczyć, czy łzy nie pozostawiły rzeczywiście brzydkich śladów. I w chwili, gdy się pochyliła ku zwierciadłu, zahaczyła koronką rękawa o prześliczny wazonik, wyrzeźbiony z kości słoniowej, i zaraz potem leżał wazon strzaskany na ziemi. Królowa, mocno zmartwiona, bo to był dar męża, podniosła szczątki wazoniku, a równocześnie i kilka pawich piór, które się w nim znajdowały, i nagle – uśmiechnęła się zadowolona. Szybkim ruchem zagięła pióra, przyłożyła do swych jasnych włosów, i w mgnieniu oka strój był gotów. Twarzyczka królowej wypogodziła się, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, takiego przybrania fryzury nikt jeszcze nie widział, nikomu nie przyszło nawet na myśl strojenia włosów piórami! I gdy na wieczór ukazała się w swej wspaniałej sukni i w wysokiej fryzurze, ozdobionej pękiem pawich piór, spiętych brylantową agrafą, wywołała ogólny podziw i uwielbienie. Król oświadczył, że nigdy nie zdarzyło mu się widzieć tak pięknego i gustownego stroju głowy,

a w przeciągu kilku tygodni rozpowszechniła się moda po całej Francyi.

I odtąd przybierają panie włosy piórami; z biegiem czasu przeszła moda i na kapelusze, ale żadna pewnie, przypinając przed zwierciadłem pióra, nie myśli o tem, że piękna głowa, która pierwsza je nosiła, spadła pod toporem kata.

Ztąd też istnieje przesąd, że pawie pióra przynoszą nieszczęście.

M. P.

Przeciw gorsetom.

Przeciw gorsetom, temu barbarzyńskiemu wynalazkowi mody, który na całe pokolenie kobiet, a pośrednio i mężczyzn, wywarł wpływ zabójczy, utrudniając, prawidłowy rozwój organizmu, rozpoczęła się na dobre kampania. Naturalnie, że władze mają tu ograniczony zakres działania, ale ostatecznie mają.

Więc już w kilku państwach słyszymy o zakazie noszenia gorsetów przez dziewczęta, uczęszczające do szkół publicznych. Równocześnie donoszą z Warszawy, że rozpoczyna się i tam akcya w tym kierunku. Na posiedzeniu Towarzystwa biologicznego warszawskiego mówił dr. Barszczewski o szkodliwości gorsetu, objaśniając ją obrazami, otrzymanemi z pomocą promieni Roentgena, a podczas dyskusyi na ten temat inny lekarz, dr. Polak, domagał się, aby zakłady naukowe żeńskie, zakazały uczennicom noszenia gorsetów. Oczekujemy niecierpliwie poruszenia tej sprawy także na gruncie poznańskim i inicyatywy ze strony panów lekarzy. Ale taka akcya tu nie wystarczy. Potrzeba, aby z pośród samych kobiet wyszedł dobry początek. Niech najrozumniejsze z nich w imię zdrowia przeciwstawią modzie noszenia gorsetów inną modę, mianowicie — nienoszenia ich. Byleby powstała pierwsza grupa — za nią pójdą niewątpliwie dalsze, a jeśliby nawet pewna liczba osób, kochających bardziej wątpliwą estetykę gorsetów, niż zdrowie, pozostała jej wierną i nadal, to sam fakt, że ta szkodliwa chińszczyzna przestanie być obowiązującym kanonem dla wszystkich, będzie już nielada zwycięstwem hygieny, i rozumu. Powinni także mężczyźni agitować na korzyść tej sprawy w swoich rodzinach. Jest to sprawa bardzo doniosła i jeśliby zarzucenie gorsetów wymagało nawet reformy strojów kobiecych, to można się przecież spodziewać, że tyle pomysłowości znajdzie się wśród kobiet. W Paryżu ostatniemi czasy zapanowała moda noszenia wąziutkich gorsetów, które wcale nie osłaniają torsu, tylko ściskają w niemożliwy sposób w samym pasie, tak, że ciało jest jakby przesmykiem przedzielone na dwie bryły. Pokazuje się więc, że główny pretekst zachowywania gorsetów: zakrycie biustu, może doskonale ustąpić przed zdrowym rozsądkiem. Od gorsetów paryskich jeszcze jeden ostatni krok — i będzie można nakoniec pogrzebać ten śmieszny i szkodliwy przesąd, który jest często przyczyną śmierci. I tak donoszą z Ostrowa, że umarła tamże na zabawie tańcującej na paraliż serca żona urzędnika kolejowego Bienera. Lekarze stwierdzili, że śmierć spowodował gorset zbytnio zesznurowany.

F.

„Pantoflarze.“

Edward John Hardy w nowej swej książce p. t. „Miłość i pożycie małżeńskie słynnych ludzi“ opowiada wiele zabawnych anegdot. Dowiadujemy się np., że jednym z największych „pantoflarzy“ był Tycjan. Jego żona Cecylia żądała od niego codziennie rachunku z wydatków. Słynny malarz musiał sobie łamać głowę nad wymyśleniem jakiej „pozycyi„, gdy w towarzystwie przyjaciół wypił kilka lampek wina. Mimo takiego rygoru, Tycjan kochał swoją despotyczną małżonkę i opłakiwał gorzko jej utratę. Andreo del Sarte miał także piekło w domu, żona jego robiła mu ciągle sceny zazdrości i nie pozwalała „zadawać się“ z kolegami, w obawie, że go do hulanek namówią. I ks. Malborough, tak dzielny na polu bitwy, nie umiał stawiać czoła swej małżonce. Podczas jednej ze swoich kampanii pisał do niej: „Obecnie mam do czynienia z 60,000 najlepszego żołnierza pod słońcem, którym dowodzi pierwszy wódz w Europie; ale nie boję się ich ani w połowie tyle, co ciebie, duszko, gdy jesteś w złym humorze“.

Po długich konkurach udało się wreszcie słynnemu pisarzowi Addison pozyskać rękę owdowiałej hrabiny Warwick; ale ukochana obchodziła się z nim tak okrutnie, że powstało przysłowie: „Holland House (rezydencya małżonków) choć bardzo duża, nie zdoła pomieścić trojga mieszkańców: pana Addison, hrabiny Warwick i spokoju“. Po nominacyi Addisona sekretarzem stanu, lady Montagu pisała do przyjaciółki: „Być sekretarzem stanu, a w dodatku mężem hrabiny, to za wiele na jednego astmatycznego człowieka i zobaczycie, że on albo ducha wyzionie, albo się zrzeknie obu tych zaszczytów“. James Watt, wynalazca siły parowej, musiał schronić się na strych przed porządkami i krzykami swej żony i tam pracował nad swojem nieśmiertelnem odkryciem, gotując sobie sam posiłek. Najnieszczęśliwszym z małżonków był Abraham Lincoln, prezydent Stanów Zjednoczonych. Dwa razy doznał zawodu w miłości, wreszcie pokochał miss Maryę Todd. Musiał poznać jej miły charakter przed ślubem, bo w ostatniej chwili cofnął się. Przyjaciele skojarzyli jednak tę parę. Wyznaczono dzień ślubu. Gdy Lincoln ubierał się na tę uroczystość, znajomy chłopczyk zapytał go, gdzie idzie:

— Zdaje mi się, że do piekła — brzmiała odpowiedź.

Lincoln słuchał niewolniczo swej żony, która pomimo to wyprawiała mu ciągle awantury i nazywała tyranem.

Kiedyś wpadła z gniewem na jego przyjaciela, który umknął. W kilka dni potem ten żalił się przed Lincolnem.

— Mój drogi — odparł tenże — dziwię się, że nie mogłeś wytrzymać przez kilka minut tego, co ja znoszę przez lat piętnaście.

W. R.

Pielęgnowanie zdrowia.

Chrypka po głośnem i długiem mówieniu ustaje wnet, jeżeli się przez pewien czas bierze po 2—3 kropli tynktury arniki, dwa razy dziennie.

Środki przeciwko upartej czkawce. 1) Wziąść w usta grupkę cukru umaczaną w occie i pogryźć ją, 2) Zatrzymać oddech — druga zaś osoba musi położyć palec na puls. Czkawka ustaje po kilkunastu sekundach.

Hustanie albo bujanie jest dzieciom bardzo szkodliwe. Nietylko, że zdarzają się często nieszczęśliwe wypadki, ale nadto wywołuje bujanie ból głowy i zawrot. Dzieci używają zwykle bez miary każdej zabawy, i niezadowolnią się krótkiem bujaniem, rodzice więc nie powinni pozwolić wcale na to. Zamiast huśtawki kupić im lepiej przyrządy do turnowania, trapezy, rzymskie pierścienie i t. d. Wszystko to wzmacnia muszkuły, rozwija siłę, i sprawia dzieciom także wiele przyjemności i rozrywki.

Dział muzyczny.

Wesoło. Ksaw. Syrewicz.

Mo-je ty dro-gie dziewczęfi - glar- ne Cze-mu twe
o - czy ta-kie są czar-ne? Jak dwa dya-men - ty
kre-pą przy- ćmio-ne, ta-kie śmie-ją - ce, choć załza-
wio-ne? Wy-znaj, dziewczyno; o tym se-kre-cie
nie powiem słów-ka ni - ko-mu w świecie, Bo cóżby
rallent.
rzek-li ci, co nie wie-dzą, że tam dwa czar-ne
dja - beł - ki sie - dzą; Że tam dw czar - ne
dja - beł-ki sie - dzą!



Chopin u księcia Radziwiłła.

Drukiem Pracy“

Nr. 47. — Poznań, Niedziela 19-go Listopada 1899. — Rok III.

PRACA

Tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny.

Przedpłata w Poznaniu **już z odnoszeniem** tylko 1 markę na kwartał.

Redakcya i Administracya w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. **Telefon Nr. 295.**

Przedpłata na pocztach w Niemczech tylko 1 markę kwartalnie. — W Austryi (pod opaską) 1 złr. czyli 1,70 mr.

Nadesłane 50 fen. od wiersza.

„Praca" zapisaną jest na poczcie w oddziale II, t. 86.
Pojedyńczy numer „Pracy" nabyć można za 15 fen. z przesyłką 20 fen.

Ogłoszenia zwykłe 20 fen. od wiersza.



Mowa polska.

Ludu! broń się dzielnie, szczerze,
Tarcza twoja w polskiem słowie,
Stoisz skałą przy twej wierze,
Stań posągiem przy twej mowie.
Polsko! w twem gronie domowem
Bądź nam od wroga zasłoną,
Odepchnij go polskiem słowem
Jak djabła wodą święconą.
Słowo jest tą wielką siłą,
Słowo i nasz kraj ocali —
Póki w polskich chatek ściany
Gwar obczyzny nie zawita,
Póty próg nasz nieskalany,
Póty Polska nie zdobyta.
W polskich to domach się mieści
Mowy polskiej arka święta,
Stoi na niej krzyż boleści,
Leżą krwawe ludu pęta! —
W tych to domach Polska żyje,
W nich ostatnia już obrona,
W nich najdroższy skarb się kryje,
Godności naszej korona! —
Matki! matki przyszłych matek
Bądźcie wsparciem świętej sprawy,
Zapiszcie to w sercach dziatek
Ogniem Pragi, krwią Warszawy:
„Że kto wrogów w dom wprowadza
„Siebie hańbi, lud swój zdradza,
„I każdem słowem obczyzny
„Kala sławę swej Ojczyzny."

Lwów, 11. 11. 99.

Stokowski.

Warszawa czy Kraków?

Rok temu, w skreślonym przez p. Z. Słupskiego artykule p. t. „Podwójny jubileusz“ „Praca“ pierwsza zwróciła uwagę naszego społeczeństwa na przypadającą w roku bieżącym 50-tą rocznicę śmierci Chopina, radząc ją upamiętnić sprowadzeniem jego prochów z obczyzny.

Słowa nasze nie przebrzmiały bez echa: dziś bowiem cały świat cywilizowany łączy się z sercem polskiem i uroczysty składa hołd cieniom tego nieśmiertelnej pamięci mistrza nad mistrze, twórcy tylu arcydzieł polskich.

Ze wszystkich nieomal krajów, z różnych stolic i miast, posypały się wieńce, a telegraf przyniósł nad Wisłę wyrazy najwyższej czci i uwielbienia od swoich i obcych. Między innymi nie zapomniał o tym dniu smutnym (17 października) i dr. F. Niecks, prof. uniwersytetu w Edynburgu, autor najlepszego życiorysu Chopina. Pamiętała również sławna londyńska firma Broadwood and sons, na której fortepianach mistrz wyłącznie grywał; również z tej samej racyi nadeszła depesza od Pleyela z Paryża. Pamiętali też i Polacy w Londynie osiedli, że on tam po raz ostatni w życiu grał publicznie i to na dochód emigrantów polskich. Wspaniały wieniec jest wymownym wyrazem ich wdzięczności za ten czyn szlachetny. (Wieniec to kosztowny (600 fr.), istne dzieło sztuki — ręcznie wykuty z żelaza)

Prócz tego wszędzie urządzają się uroczyste obchody, a w jego ojczyźnie nawet już miasta powiatowe zapowiadają koncerty lub nabożeństwa żałobne. Nawet Rosya żywy w tym ruchu przyjmuje udział. Pisma w jej starej stolicy wychodzące ostro skarciły Petersburg za to, że on jeden dotychczas zachowuje milczenie.

Słowem wszyscy, cała prasa różnych narodów, nie wyłączając i niemieckie, nader żywo się tą rocznicą zainteresowały. Nie ma prawie pisma, któreby choć krótkiej sympatycznej wzmianki nie zamieściło, a wiele obszerniejsze zamieszcza wspomnienie o twórcy naszych mazurków i polonezów.

Dziś imię Chopina wszędzie na ustach, powtarzane od krańca do krańca.

Ale nie na obchodach i nabożeństwach się kończy — a przynajmniej skończyć się nie powinno. Większy na nas ciąży obowiązek.

Już więc tu i owdzie myślą o stawianiu pomników, o stypendyach imienia Chopina, a nawet o budowie gmachu dla pomieszczenia muzeum i specyalnej wszechnarodowej akademii Chopina. Prócz tego zaczyna się już sypać grosz ofiarny na koszta sprowadzenia do ojczystego kraju drogich dla nas prochów wielkiego syna, który go taką chwałą okrył. Pierwszy Paderewski zrobił w tym kierunku początek, składajac na ten cel hojny dar 2000 franków! Cześć mu za ten nowy jego czyn obywatelski.

Nie ulega też wątpliwości, że cały kraj, choć biedny, znajdzie jeszcze jakiś grosz wdowi na tak świętą sprawę, a niejeden też z licznych wielbicieli mistrza pójdzie za przykładem Paderewskiego. Miejmy więc nadzieję, że słowo, które przed rokiem „Praca“ rzuciła na narodową niwę, wkrótce stanie się ciałem ku chlubie całego społeczeństwa. I oto wielki nasz rodak, duma i chwała nasza, tułacz za życia, nareszcie choć po śmierci znajdzie przytułek na łonie tej samej matki-ziemi, która go wydała, a którą on nade wszystko ukochał i której nieszczęścia z taką siłą uczucia wyśpiewał.

Dla tego króla pieśni polskiej, dziś miejsce wśród królów tylko obok Adama.

Zachodzi tu jednak poważna obawa, czy patryotyczny ten zamiar nie napotka trudności.

Uprzedzając więc ten wypadek, rzucono myśl zbudowania w takim razie specyalnego mauzoleum, Panteonu narodowego, w którymby nietylko Chopin, ale i wszyscy inni w przyszłości krajowi zasłużeni, wieczny znaleźli spoczynek. Myśl to o tyle dobra, że dzisiejszy ich przytułek na Skałce, gdzieś na uboczu wśród żydów i błota położonej, trudno dostępny, rzadko też zwiedzany bywa. Tu też zapewne leży powód, że taki n. p. Matejko wyraźnie zastrzegł, aby go tam nie chowano.

Myśl przeto zbudowania Panteonu wielu znajduje zwolenników. Już się nawet rozglądają, gdzieby ta narodowa świątynia stanąć powinna. Gdyby przyszło do budowy, to pewno na ten cel miejsce nieopodal Wawelu nad brzegiem Wisły byłoby wybrane.

Nie możnaby jednak od tej budowy zależnem czynić sprowadzenia Chopina. Zapewne też w danym razie prochy jego tymczasowo złożone zostaną w którymś z kościołów.

Dodać należy, iż nietylko jeden Kraków dobija się o zaszczyt posiadania go w swych murach; również i Warszawa występuje ze swemi do niego prawami. Prawa to niezaprzeczone — ale prawa przedewszystkiem posiada cała Polska. Zresztą poważna zachodzi obawa, czy rząd moskiewski nie stawiłby *veto*. Ale o to mniejsza, bo dla nas wszystko jedno, które z miast dostąpi tego zaszczytu. Chopin był Polakiem i na polskiej ziemi ma spoczywać, a gdzie, to już kwestya bez znaczenia.

Zarzut przez głosujących za Warszawą stawiany, że on nigdy w Krakowie nie mieszkał, nie ma sensu i sam przez się upada. Gdyby tu szło o człowieka prywatnego, można i nawetby należało w wyborze miejsca kierować się jego rodzinnemi wspomnieniami, ale Chopina imię związane nie z pojedyńczemi osobami, nie z jednem miastem tylko, lecz z całym narodem, z całym krajem. Wszak Mickiewicz nawet nigdy Krakowa nie widział, a przecież leży na Wawelu i nikomu ztąd ani na myśl nie przyjdzie kwestyonować właściwości miejsca.

Taki lokalny patryotyzm nie dla nas. Rozdzieleni politycznemi granicami, nie rozdzielajmy serc naszych ni interesów narodowych — złączonych wspólną myślą, wspólnemi ideałami. Nie ma dla nas żadnych różnic Warszawa czy Kraków — wszystko jedno, byle na ojczystej ziemi.

Dobrze, że komitet krakowski, na którego czele stanął nasz prof. dr. Wicherkiewicz, nie oglądając się na akcyę Warszawy, sam raźno zabiera się do czynu. Młodzież lwowska, która pierwsza sprawę już zapoczątkowała, bezwątpienia energicznie poprze komitet krakowski, który też wogóle może liczyć na poparcie całego kraju, bo wszystkich to żywo obchodzi, wszystkim ta sprawa na sercu leży.

A i my chyba nie zostaniemy w tyle.

Już nawet coś słychać o jakimś komitecie w kierunku wspólnego działania czy też wzniesienia polskiemu mistrzowi tonów choć skromnego pomnika tu, w murach Poznania, gdzie on za życia kilkakrotnie przebywał w domu ów-

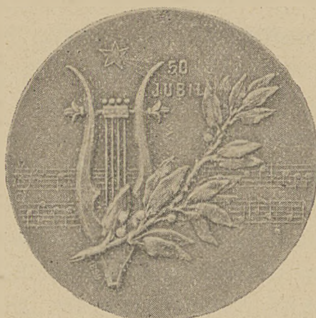
czesnego prezesa rządu W. Księztwa, ks. Ant. Radziwiłła.

Ano, niechby stanął choć skromny jakiś monument, aby nasi najserdeczniejsi codziennie mogli patrzeć na wielkiego Polaka.

Szczęść Boże na zacną robotę!

S.





Znany w naszem mieście prof. K. Kozłowski, wydawca wielu dzieł poważnych, zapalony wielbiciel Chopina, przed kilku laty wydał wspaniałą heliograwurę podług obrazu „Chopin u ks. Radziwiłła" na jego zamówienie malowanego przez Siemiradzkiego*). Obecnie znów, dla upamiętnienia 50 rocznicy śmierci Chopina, kazał bić pierwszy dla niego medal, którego reprodukcyę zamieszczamy. — Piękny ten medal wykonany został podług modelu dłuta utalentowanej rzeźbiarki, p. M. Gerson, córki znanego malarza warszawskiego, Wojciecha.

Prócz tego prof. K. krząta się teraz około wydania wspaniałego albumu Chopina. Album obok tekstu zawierać będzie około 300 illustracyi.

Będzie to również piękny hołd, złożony pamięci mistrza.

*) Reprodukcyę albumową obrazu tego dołączamy ponownie do dzisiejszego numeru „Pracy" na wielokrotne życzenia nowych Czytelników, mianowicie z Galicyi. Przyp. Red. „Pracy".



Dziwne pretensye
do naszej wdzięczności.

Jednym z najulubieńszych argumentów, któremi posługuje się prasa niemiecka wobec Polaków, jest ten, że pod względem rozwoju komunikacyi t. j. budowy kolei, szos, dróg i t. d. i pod względem uporządkowania stosunków ekonomicznych wogóle — ma Poznańskie niesłychanie wiele do zawdzięczenia pruskiemu rządowi. Jedno z pism niemieckich*) wyliczyło niedawno, że za czasów Flottwella (1841) istniało zaledwie 30 mil szosy, podczas gdy obecnie prowincya cała pokryta jest siecią dróg wszelkiego rodzaju. Nie wynika z tego jednak żaden zarzut dla nas, a żaden tytuł chluby dla rządu pruskiego: ileż bowiem mil szosy istniało w Prusach za czasów Flottwella, a ile ich dziś zliczyć można? Stosunek zapewne będzie jednaki, gdyż zarówno tu jak tam, zarówno w Poznańskiem jak we właściwych Prusach istotnym motorem były potrzeby czasu, a nie opiekuńcza dłoń rządu.

Zresztą jeśli rząd przyczynił się do ulepszenia środków komunikacyjnych, to nie czynił on tego bezinteresownie, owszem kierował się bardzo jednostronną rachubą polityczną, wyraźny dowód czego mamy w wielokrotnych a pełnych uznania dla rządu głosach prasy niemieckiej, która podnosi, że przez ulepszenie środków komunikacyjnych umożliwia rząd lepsze nawiązanie styczności i stosunków pomiędzy rozsianemi po całej prowincyi osiadłemi koloniami niemieckiemi, co ma „niezmierną doniosłość w walce o wpływy niemieckie w prowincyi"**).

Jeśli więc pobudką było polityczne wyrachowanie — to skąd że pretensye do wdzięczności za domniemaną pracę bezinteresowną rządu dla prowincyi poznańskiej?

To samo, co zauważyć można na powyższym przykładzie, zauważyć się daje na każdym kroku. Nie ma prawie takiego projektu, takiego prawa, ukutego specyalnie przeciw Polakom, któreby w oficyalnym żargonie nie nazywało się „wysoce zbawiennem dla prowincyi" i za które Polacy nie powinni okazywać głębokiej wdzięczności.

Szkoły są tak gęsto rozsiane, jak może w żadnej innej prowincyi pruskiej.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia przybyło przeszło 300 nowych szkół ludowych, nie mówiąc już o innych zakładach naukowych, jak np. seminaryach nauczycielskich lub gimnazyach, których jest tak dużo, że w wyższych klasach liczba uczniów rzadko przekracza liczbę 10—12. Dodać dla illustracyi należy, że z bardzo nielicznemi wyjątkami wszystkie te nowo założone szkoły ludowe noszą czysto protestancki charakter i mają wyraźnie nakreślone germanizacyjne cele. Germanizacya z protestantyzacyą zresztą idą nie tylko na polu stosunków szkolnych ręka w rękę. Przed stu laty niespełna liczono w Księstwie około 120 zborów i modlitewni protestanckich, z których większa część budowana była z drzewa. Dziś istnieje 300 protestanckich parafii z odpowiednią liczbą pastorów lub ich zastępców, a dzięki zasiłkom rządowym i związkowi imienia Gustawa-Adolfa, którego polityczna działalność jest znaną, zaledwie kilka by się znalazło zborów nie budowanych z masywnej cegły. Wątpić można, czy z tego tytułu rząd pruski ma prawo do jakichśkolwiek tytułów wdzięczności ze strony polskiej. Również i ze stanowiska cywilizacyi ogólnej tego rodzaju inowacye w prowincyi rdzennie polskiej na uznanie nie zasługują, przyczyniają się bowiem jedynie do zaostrzenia nienawiści rasowej dwóch narodów, z których jeden musi w ciężkiej walce o byt ostatnich sił dobywać, drugi zaś, protegowany przez władzę państwową, z pewnym rodzajem wyższości spogląda na swych sąsiadów, upajając się fałszywem z gruntu przekonaniem, że jest „reprezentantem wyższej kultury" i jako taki ma zupełnie inne prawa i inne prerogatywy. Tego rodzaju „cywilizacyjna praca" nie daje nikomu tytułów do zasług — niema też ich sobie co rościć rząd pruski, bo on robił wszystko co się dało, aby kraj nasz zrobić pruskim, nie zaś aby go wynieść na wyższy szczebel oświaty. Oświata i cywilizacya nie polega na pożeraniu słabszych narodów przez silniejsze, lecz na zrównaniu słabszego z silniejszym w obliczu prawa. A dopóki ludność polska nie będzie przeświadczona o tej równości wobec prawa, dopóki będzie się uważać musiała za obdarzoną prawami obywateli *drugiej klasy*, dopóty samochwalstwem — i to nieuzasadnionem — pozostaną twierdzenia, że rząd pruski prowincyę naszą ucywilizował."**)

K. R.

*) „Das Volk".

**) Również „Das Volk" nr. 287 rok 1897.



Koniec tragedyi.

Szczepanowski uniewinniony. Wyrok zapadł jednogłośnie.

Dawno już żadna sprawa nie elektryzowała tak szerokich kół społeczeństwa i dawno już tak jednomyślną radością nie powitano wyroku.

Po za kółeczkami owładniętemi furyą stronniczości, panował tylko głos jeden, że tam przed trybunałem przysięgłych we Lwowie nie stanął przestępca, lecz człowiek najczystszy, którego los zawistny powalił o ziemię. A jeżeli potrzeba było jeszcze wyraźnych dowodów niewinności Szczepanowskiego, to pięciotygodniowe rozprawy przed sądem dostarczyły ich aż nadto. Z procesu tego wyszedł zdetronizowany „król przemysłu galicyjskiego“ jako bohater tragedyi, którego wina dramatyczna polegała na tem, że przecenił siły własne, że za wiele pragnął, za wiele kochał i za wiele wierzył. Ale wina bohaterów tragicznych, to nie srom. Dla winy litość, dla sromu więzienie.

Gdy Szczepanowski opowiadał dzieje swoje przed sądem, nie było chyba wśród sędziów nikogo, ktoby w Syzyfowej pracy zgruchotanej wielkości widział znamiona występku. A gdy nadomiar lekarze scharakteryzowali straszne męczarnie ciała, którym w najkrytyczniejszych chwilach katastrofy podlegał oskarżony, gdy jasnem się stało, że przed tym człowiekiem wprost tajono stan interesów, aby ocalić jego biedne, chore serce, które tyle kochało, gdy stwierdzono, że w bólach upartych, szarpiących organizm jego, zatracał chwilami jasny pogląd na rzeczy i musiał sankcyonować obce, bez jego współudziału dokonane czyny, wtedy nawet drobne nieformalności, które pozostały jako ostatni szczątek, z rozbitego gmachu oskarżenia, straciły wszelkie znamiona winy.

I gdyby nawet obrońca Szczepanowskiego, świetny kryminalista dr. Grek, nie był w wspaniałej mowie rozproszył wszelkich cieni, idących z trybuny prokuratorskiej ku ławie oskarżonych, gdyby nic więcej nie był powiedział, tylko tyle: „Milczę, wy sądźcie,“ to wyrok sądu przysięgłych byłby niewątpliwie wypadł tak samo, jak po mowie jego.

Mowa ta jednak miała to, że tak powiem, artystyczne znaczenie, iż odsłoniła psychologię tej czystej duszy, którą, jak rój nietoperzy, obsiadły klęski i nieszczęścia. Była to raczej apoteoza niż obrona, był to obraz idealnych dążeń, wielkich celów, najszlachetniejszego obywatelstwa. Przed mową Greka, sędziowie wierzyli w niewinność Szczepanowskiego, po mowie Greka, zaczęli czcić i kochać tego, nad którym huczało oskarżenie prokuratora.

I jeszcze jedną stronę chciałbym tu podnieść w przemówieniu obrońcy. Oto Grek nie skorzystał z łatwej sposobności spychania całej winy na milczącą trumnę Zimy. Wbrew przypuszczeniom złośliwców nie czernił trupa, aby tem silniej przekonać wszystkich o niewinności żyjącego, lecz przeciwnie usiłował pokazać, że ten człowiek, który już spoczął w mogile, okryty hańbą i potępieniem ogółu, miał w bilansie życia swojego ogromne cyfry zasługi.

„Jak ktoś pięknie napisał — mówił obrońca — „czarne ptactwo grzechu i występku obsiadło dziś mogiłę Zimy.“ Myśmy tu widzieli tylko jego grzechy i słyszeli tylko o jego wadach, a jednak człowiek to był nie bez zasług, nie bez wielkich i znakomitych zasług.

Wiem, panowie, i zdaję sobie z tego dokładnie sprawę, że pozostaje mi pewna, łatwa bardzo obrona usiłowań Szczepanowskiego i jego zbliżenia się do Kasy. Wiem, że dziś na nieżyjącego barki można rzucać wszystkie plagi i plamy oskarżenia. Jednak nie jestem hyeną i nie będę się żywił żerem trupim, abym z grobu wyciągać miał wolność, a nawet cześć mojego klienta. O tem nie mogę ani na chwilę zapomnieć, że jestem w aktach wykazanym obrońcą Zimy, że ten Zima zginął w celi więziennej, a zginął może właśnie z powodu pomocy, jakiej udzielił Szczepanowskiemu. I o tem trzeba mi pamiętać przedewszystkiem.

Zima to emigrant, również zaprawiony na obcych kulturach, który także długi czas przebywał w Anglii, to człowiek, którego odwaga cechowała tak dalece, że wyniósł z bitew i potyczek, w których brał udział, wprost legendowe wspomnienia, natura hartowna, dyktatorska, człowiek, który umiał rozkazywać i który mógł również ważyć się na bardzo wielkie, zawrotne, niebezpieczne i wprost tragiczne rzeczy.

I ten Zima, który zastał Kasę oszczędności, w 1870 r. z 6 milionami wkładek i z 400 tysiącami rezerwy, ten Zima, a należy to już do zwykłej psychologii i znajomości natury ludzkiej, musiał czuć, że w tem wzmożeniu się funduszu rezerwowego, że w tych wielkich wkładkach, a zostawił ich 33 miliony, że tkwi w tem wielka część jego zasługi. I bez wątpienia, że w tem wszystkiem, co dobrego się działo w tej instytucyi, jego wielka część spoczywa. A należy to właśnie może do słabych stron człowieka, że stworzywszy nawet rzecz publiczną swoim mozołem i trudem, zidentyfikuje się z nią, zapomina, że według statutów jest tylko jej stróżem, że ma jedynie dbać o to, aby nie zaprzepaścił tego, co stworzył, i zdaje mu się czasem, że on ma prawo tą rzeczą więcej rozporządzać, niż statuty, rozporządzenia, niż sama istota Kasy oszczędności na to zezwala.

Bez wątpienia, statut i regulamin Kasy, filantropijne i humanitarne zasady, jakie Kasa ma wypisane na początku swego statutu, znam je wszystkie na pamięć, są to rzeczy poważne i bezsprzecznie były to granice, wobec których należało się zatrzymać. Pozwólcie mi jednak panowie, że użyję przykładu: W armiach, tam gdzie dwa narody potykają się na polu bitwy, dla dowódcy, który wbrew strategii, wbrew regulaminom i rozkazom sztabu generalnego, waży się na jakiś wielki czyn wojenny, jeśli ten czyn doprowadzi do skutku i przezeń przyniesie pożytek i sławę swojej ojczyźnie, to dla takiego człowieka, na wypadek powodzenia, ustanowiono najwyższy order państwa, laury.

Jednak, jeśli ten czyn nie zostanie uwieńczony powodzeniem, jeśli dowódca wbrew rozkazom sztabu generalnego nietylko nie dokona czynu wielkiego, ale zaprzepaści powierzone mu pułki, wtedy pozostaje sąd wojenny i kula w łeb.

Zima, ten stary żołnierz, który widział często kule naprzeciw siebie, on zdawał sobie z tego sprawę, że powziął tragiczne postanowienia, że ima się wielkich czynów, że tam przy końcu albo więzienie, albo kula, albo też ogólne uznanie społeczeństwa i wielki pożytek dla kraju... Nie poszczęściło się, przyszła cela więzienna i śmierć sromotna... Wiedział o tem Zima, że, jak dawniej rozgrywały się między narodami największe kwestye na polu walki, tak dziś, w wieku przemysłowem, potykają i zjadają się narody na polu życia ekonomicznego i wiedział, że właśnie na tem polu, w tej ciężkiej ekonomicznej służbie tkwi kwestya narodowego bytu i narodowej przyszłości.

Nie poszczęściło się... Cela więzienna i śmierć sromotna. Ale pytam, panowie, czy na wypadek, gdyby te wielkie nadzieje, układane nie przy poezyi, lecz z ołówkiem w ręku, w towarzystwie uznanych powag naukowych, były się istotnie spełniły, pytam, czy w takim razie, gdyby te wszystkie manipulacye Zimy doszły były do wiadomości rady nadzorczej, namiestnictwa i społeczeństwa całego, czy nie odetchnęliby wszyscy i nie podziwiali tego człowieka, który się tak wielkich rzeczy podjął? I wtedy, panowie, nie byłoby ani celi więziennej, ani sromu, ani hańby, a tylko największe uznanie i wtedyby ten sam Zima miał naprawdę słuszną i zasłużoną pretensyę do publicznej nagrody... Nie udało się, cela więzienna, srom, hańba...“

Zacytowałem ten ustęp z przemówienia Greka, bo słyszę w nim, bez względu

na jego słuszność lub niesłuszność, nutę uczuć szlachetniejszych, bo jest w nim pewna rycerskość nie podyktowana sprytem adwokackim, lecz sercem uczciwego człowieka. On nie chciał kosztem umarłych ratować żywych.

Czy wyrok sądu przysięgłych, uwalniający wszystkich oskarżonych od odpowiedzialności, nawet nieciekawą osobę p. Wędrychowskiego, jest sprawiedliwy bezwzględnie, nie moja rzecz rozstrzygać na tem miejscu, ale to wiem, że rehabilitacya Szczepanowskiego odpowiada przekonaniu wszystkich ludzi trzeźwo myślących, nie oślepionych bielmem koteryjnem, oceniających bezstronnie czyny i pobudki ludzkie. To uczucie było wszechwładnem w sali sądowej, gdy Grek w takich słowach kończył mowę swoją:

„Czuję, że chciałbym w tej chwili, abym mógł przemówić do waszego sumienia głosem wyznawców Szczepanowskiego, rozproszonych po wszystkich częściach świata, tych wyznawców, którzy w nim mają swego nauczyciela, których on zachęcał do pracy i w których wpoił przekonanie, że każda praca, nawet najcięższa, fizyczna, to powołanie publiczne, to obowiązek publiczny.

Chciałbym, aby do sumienia waszego przemówili ci, którzy zdają sobie dokładną świadomość z tego, że w tej chwili dokonywa się ostatni akt strasznej tragedyi, że w tej sali stoi pod pręgierzem człowiek jeden z najczystszych i najbielszych, jakiego wydała doba teraźniejsza i gdybyście tych jego wyznawców zapytali: „kto jest Szczepanowski?“ odpowiedzieliby jednym gromkim głosem, wprost od serca płynącym: „ciało Szczepanowskiego jest prochem, duch jego jednak wejdzie do panteonu narodowego.“ *W.*



Welehrad i idea Cyryllo-metodyjska na Morawie a obecne czasy.

III.

Ktokolwielk dłuższy czas przepędził na Morawie i zwiedzał Welehrad, przekona się, że nietylko całe duchowieństwo, lecz także pewien odłam ludu jest wierny tej idei; o 10 mil pieszo pielgrzymują duszpasterze z swymi parafianami, w budżecie swym stosunkowo wiele przeznaczają na wydawnictwa narodowe, a młodsze duchowieństwo w gorliwości chce starszych prześcignąć.

Ale wśród całego narodu coś niedobrego kiełkuje, a zupełnie przeciwnego idei Cyryllo-Metodyjskiej, a z Pragi kolportowany już na Morawie zapuszcza korzenie, *hussytyzm* i *russofilizm* czyli jednem słowem „*Precz od Rima*“; dziś to Niemcy przyjęli od Czechów na ich szkodę „Los vom Rom“ czy to nie palec Boży?

Hussytyzm i russofilizm rozszerzają dzienniki jak „Narodni listy“ - Welehrad z napisem ruskim na wskroś rosyjskie — „Slovanska Morawa“ i „Lidowe nowiny“; czytuję często te dzienniki i w nich znajduję korespondencye nadsyłane z Rosyi przez Czechów schizmatyków, uwielbiające Rosyę i jej urządzenia cerkiewne; russofilizm propagują niezliczone spółki ruskie po Czechach i Morawie, biblioteki pełne dzieł rosyjskich darowanych przez Towarzystwo Dobroczynności Słowańskiej w Petersburgu, na czele którego stoi Pobiednescew, Sabler, Komarów i hr. Ignatiew, uczenie się po rosyjsku w spółkach (czytelnianych) ctenarskich i t. d. czy to nie dość? Celem jest uwielbienie Rosyi jako państwa największego i najpotężniejszego, które się może przydać i Niemcom strachu narobić.

Hussytyzm znowu objawia się w przeholowanej czci i uwielbieniu dla Husa, który jest ideałem dobrego patryoty, gdyż on po czesku kazał i nienawiść do Niemców wlał w serca Czechów. Dlatego te szalone agitacye o pomnik w Pradze dla Husa, na który złożono już 100,000 złr., uchwalenie tego pomnika w radzie miejskiej w Pradze większością 80 głosów contra 20, zbieranie dalsze składek po prowincyach w Czechach i Morawie.

Nie byłoby nic złego ostatecznie w zakresie narodowości szukać poparcia i czcić swych patryotów, o czem wiele dałoby się mówić, ale hussytyzm i russofilizm łączą się serdecznie w nienawiści wspólnej przeciw Rzymowi, przeciw klerowi, a najwięcej przeciw językowi łacińskiemu w liturgii; co z tego wyniknie Bóg sam tylko wie.

W ten sposób idea Cyryllo-Metodyjska jest wszędzie zwalczana i wyśmiewana i co z tego wyniknie, będzie złe największe dla samych Czechów, nastąpi bowiem rozdarcie ojczyzny na 2 obozy, wojny domowe, odznaczenie się Polaków, dla których russofilizm jest wstrętny z poczucia narodowego, a hussytyzm jako sekta luteranizmu obraża głęboko zakorzenione poczucie katolickie. Nawet w zakresie politycznym russofilizm wyjdzie na złe Czechom, wszak mają nauczkę tej ruskiej miłości w Bułgaryi, Serbii i w Warszawie, a obecnie w Finnlandyi, wszak absolutno-despotyczne rządy carskie wprost sprzeciwiają się duchowi rewolucyjnemu Husa i szowinistycznej polityce Czechów; nigdy religia katolicka nie głosiła tak przewrotnych zasad jak Hus, a mimo to jest prześladowana, cóż dopiero czeka za los z strony Rosyi dla hussyckiej idei. Słowem powiedzieć można, że źle się bawią bracia Czesi, gdy tu idzie o życie swobodnego narodu i o zbawienie duszy, czy ten russofilizm i hussytyzm nie sprowadzą drugiej, „Białej hory.“

Dlatego na zakończenie powtarzam, że uwielbiam ideę Cyryllo-Metodyjską na Welehradzie, gdyż ona nie rozłącza narodów słowiańskich, ale w miłości przyciąga, oświeca, prostuje błędy religijne, które nas rozerwały, gwałtu nie zadaje, nie odwołując się na potęgę miecza, ale ufa, że za przyczyną św. Cyrylla i Metodego Duch św. ich oświeci, a jeśli wszyscy Słowianie tam pielgrzymować będą i dobrą wolę mieć będą, bez krwi rozlewu — mogą się zjednoczyć w braterskiej miłości i stać się wszyscy Welehradem tj. Wielkim grodem, którego żaden nieprzyjaciel nie zdobędzie, bo w łączności siła; lecz jak długo mówić będą tak, jak ochrzceni żydzi: „my jesteśmy Piotrowi, my zaś należymy do Pawła, inni Tymoteuszowi to jest my do Husa patrzymy, my zaś do Focyusza, a my do Piotra św., będziemy piłką w rękach silniejszego, odbijając się ciągle jak bałwan po morzu polityki europejskiej, dlatego na podstawie idei Cyryllo-Metodyjskiej rzeknijmy wszyscy: „Piotrowi jesteśmy“ bo Piotr to skała, a na niej zbudowany wielki gród (Welehrad) *duchowny* kościołów, którego bramy piekła nie zwyciężą. *Ks. Franciszek Zadęcki.*



Z teatru wojny.



Prezydent Transwaalu Krüger.

Stefan Jan Paweł Krüger jest więcej, niż typem zwyczajnego Boera. Jest na to za roztropny, za szczery, za dumny. Stary to człowiek, ukończył właśnie lat 75. Fizycznie jest dotąd nienadszarpnięty, tylko wzrok ma krótki, co zmusza go do noszenia okularów o niezwykle dużych szkłach. Jest on nieubłaganym konserwatystą, najmniejsza zmiana w ustroju rzeczy lub pojęć wywołuje z ust jego cierpkie utyskiwania na zgubny wpływ zagranicy. Nie nienawidzi on „uitlanderów“, jak inni Boerowie; boi się raczej

współzawodnictwa ich przedsiębiorczości z apatyczną naturą Holendrów.

Krüger jest wyznania luterskiego „o twardej czaszce“, jak powiada „Daily Mail“ w swej charakterystyce prezydenta Transwaalu: wierzy on święcie w to, że Boerzy są wybranym narodem Pana i kwiatem człowieczeństwa.

Pobiera on pensyi 7000 funtów szterlingów rocznie, a oprócz tego 300 funt. na cele reprezentacyi, czyli na tak zwaną „kawę“.

Dwaj przeciwnicy.

W chwili, gdy rozpoczął się pojedynek nierówny dwóch narodów w Afryce południowej, zrozumiały interes budzą osoby dwóch ludzi, którzy kierować mają przebiegiem tego pojedynku. Przytaczamy też niektóre szczegóły o dwóch przeciwnikach, głównodowodzących armiami: angielską i transwaalską, których portrety podajemy.



Głównodowodzący angielską armią operacyjną w Transwaalu, sir Redvers Buller.

Głównodowodzącym angielską armią operacyjną w Transwaalu, jest sir Redvers Buller, uchodzący za jednego z najdzielniejszych oficerów angielskich. Urodzony w r. 1839, większą część swej karyery wojskowej spędził w Afryce, gdzie odznaczył się w r. 1878 i 1879 w czasie wyprawy przeciwko Zulusom. W roku 1881 należał do sztabu Ewelina Wooda, który dowodził akcyą wojenną w Natalu. W r. 1882 Redvers Buller, jako pułkownik pełnił czynności szefa sztabu lorda Wolseleya w czasie kampanii sudańskiej, zakończonej wypadkami pod Chartumem. W kampanii tej, w której niespodzianek nie brakło, a wojsko angielskie niejednokrotnie narażone było na rozpaczliwe ataki Mahdystów, Redvers Buller dał się poznać jako oficer, dążący szybko do najwyższych godności wojskowych. Mianowany generałem w r. 1891, zajmował kolejno parę stanowisk wojskowych pod rozkazami lorda Wolseleya, generalisimusa armii angielskiej. Ostatnio pełnił obowiązki komendanta obozu w Aldershot.

Nominacya generała Redvers Buller na głównodowodzącego angielską armią operacyjną w Afryce, była oczekiwana od dawna, tem bardziej, iż oficer ten odznaczył się nietylko jako żołnierz, ale i jako administrator, był bowiem przez czas pewien podsekretarzem stanu dla Irlandyi.



Głównodowodzący armią transwaalską, generał Joubert.

Głównodowodzący armią transwaalską, generał Joubert, pochodzi z rodziny Hugonotów francuzkich, którzy w swoim czasie wyemigrowali do Capetown. Jest to serdeczny przyjaciel prezydenta Krügera, z którym od lat wielu broni niezawisłości Transwaalu. Zalety wojskowe generała Jouberta najjaśniej uwydatniły się w czasie walki Boerów z Anglikami w r. 1880—1881. Po ogłoszeniu urzędowem rozpoczęcia kroków wojennych, Boerów podzielono w grudniu 1880 r. na trzy grupy: jedna miała przeciąć drogę wojsku angielskiemu, dążącemu do Pretoryi, druga działać miała pod Potschefstrom, trzecia w Heidelbergu. W dniu 20 grudnia, oddział 94-go pułku angielskiego pod dowództwem pułkownika Anstruthera, był zaatakowany i zniesiony przez Boerów. Bezpośrednio potem wojsko Boerów odniosło świetne zwycięztwo nad Anglikami, którzy pod dowództwem generała Colleya, dążyli z Natalu, aby przez przesmyk Laings Neck, wejść na terytoryum Transwaalu. W dniu 7 lutego t. r. Boerowie odnieśli nowe zwycięztwo pod górą Prospect, a nieco później, generał Colley padł pod kulami Boerów pod Majouba Hill. Na tem skończyła się ówczesna kampania transwaalska. Anglicy uznali, że wojna trwa za długo i zbyt niepomyślny dla nich przybiera obrót, w dniu więc 23 marca 1881 roku zawarli traktat, uznający niepodległość rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej.

Bitwa pod Majouba Hill, stoczona według planu generała Jouberta, była, według zdania rzeczy świadomych jednem z najświetniej przeprowadzonych przedsięwzięć wojskowych w ostatniem pięćdziesięcioleciu. Odtąd koła wojskowe świata całego zaczęły się liczyć z generałem Joubertem, jako jednym z najpoważniejszych współczesnych taktyków wojskowych. Niektóry angielscy pisarze wojskowi twierdzą, iż wzięcie Majoubu Hill, mogłoby być tytułem do chwały każdego najlepiej zorganizowanego pułku europejskiego.



Komenderujący generał White.

Wobec wielkiej klęski, jaką Anglicy ponieśli w dniu 30-ym października pod Ladysmith, zamieszczony portret komenderującego generała White'go nie będzie dla Czytelników naszych bez interesu. White odbył cały czas służby wojskowej w Indyach i znajduje się dopiero od niedawna w południowej Afryce jako generał komenderujący wojsk angielskich w Natalu, nie zna zatem tam ani kraju, ani też ludzi i ztąd pod względem strategicznym przecenił bardzo zdolność i waleczność Burów.



Generał-major Freuch.

Generał-major Freuch, komendant brygady kawaleryi, którą w nieszczęśliwej dla Anglików bitwie pod Ladysmith ogień kartaczowy Boerów srodze przetrzebił, mężnie bardzo się tam bronił do ostatka i dopiero się cofnął, gdy piechota angielska na głowę pobitą została

i walka dalsza przeciw przemocy nieprzyjacielskiej stała się niemożliwą.



Generał Cronje.

Generał Cronje należy do najdzielniejszych wodzów Boerów w toczącej się obecnie wojnie z Anglikami, którym się dał między innemi we znaki przy zdobyciu Mafeking. Jest to ten sam, który swego czasu wziął w niewolę słynnego dr. Jamesona razem z jego drużyną i ztąd jest obok Krügera najbardziej przez Anglików znienawidzoną osobistością w Południowej Afryce.

ładne, położone w dolinie miasto, za podstawę wojennych operacyi. Obecnie Boerowie bombardują Ladysmith, które wkrótce będzie musiało kapitulować, jeżeli nie nadejdzie w krótkim czasie znaczny sukurs z Durbanu.

Pociąg opancerzony.

Rycina nasza przedstawia obraz pociągu opancerzonego na przestrzeni pomiędzy Colenso-Ladysmith, z którego Anglicy bronili przed Boerami uciekających z Ladysmith mieszkańców, mianowicie niewiasty i dzieci. Illustracya unaocznia chwilę, w której pociąg przejeżdża przez most kolejowy pod Colenso.

Bitwa pod Ladysmith.

Zamieszczamy specyalną mapę, dającą nam dokładny obraz przebiegu tej obustronnie zaciętej walki, która, jak wiadomo, zakończyła się wielką klęską dla Anglików.

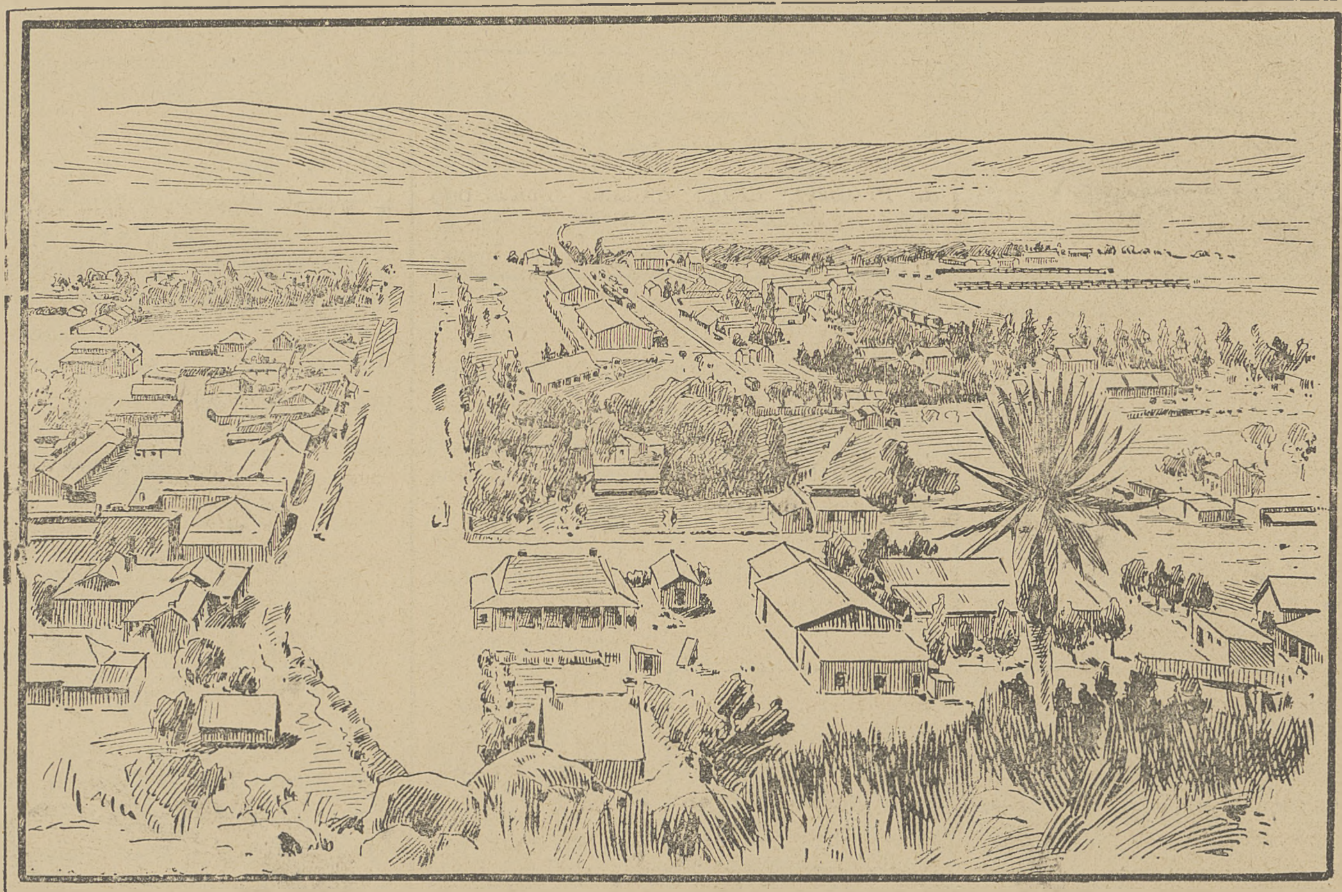
Jestto tym razem prawdziwa katastrofa dla Anglików, gdyż cała kolumna, złożona z 2000 żołnierzy i 42 oficerów, dostała się wraz z 6 działami w ręce

Idzie bowiem nie o sam fakt tylko, lecz także o moralne jego oddziaływanie. Zwycięztwo umocni wiarę Boerów w siebie, a zarazem doda otuchy ich tak licznym rodakom w Kaplandzie. A wiadomo, że nurtuje wśród nich żywa sympatya dla Transwaalu, i że byle iskra gotowa sprowadzić wybuch, a w takim razie czeka Anglików dywersya, na którą nie byli przygotowani.

Zresztą nawet pod względem militarnym klęska pod Ladysmith może Anglików drogo kosztować. Pozbawiła ona gen. Whitego niemal jednej szóstej części całej siły zbrojnej, którą miał do rozporządzenia. Będzie więc musiał zamknąć się w szańcach miasta, a gdy Boerzy silnie nacisną, kto wie, czy nie cofnie się ku południowi, aby połączyć się z nadciągającym naczelnym komendantem Bullerem, o ile naturalnie pozwoli na to nieprzyjaciel.

Gen. White, donosząc o klęsce, dodaje: „Pozycya była nie do utrzymania. Ja sam jestem za wszystko odpowiedzialny“.

Pierwsza część tej ekstazy wymknęła mu się widocznie w pośpiechu i wzbu-



Ladysmith

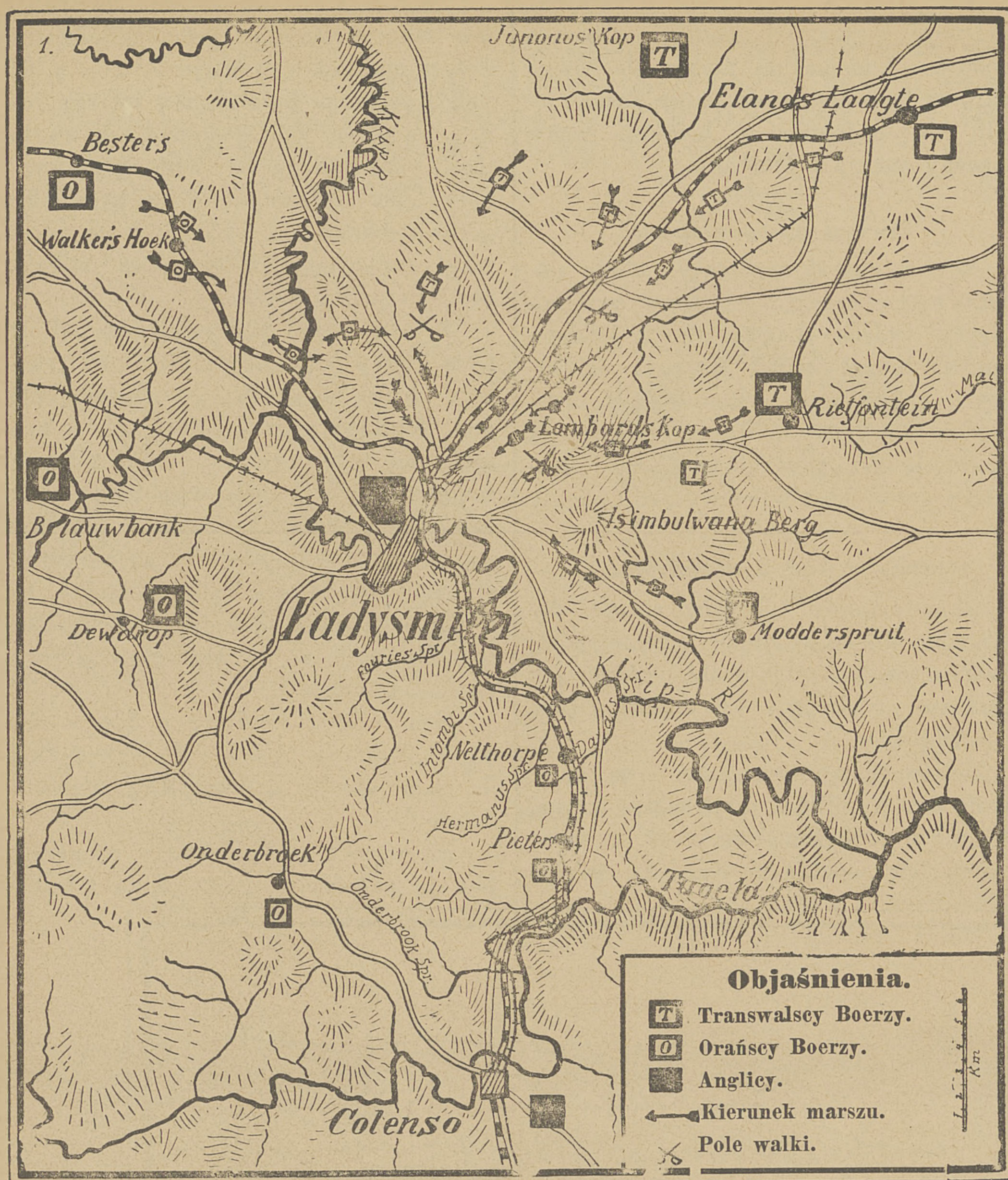
Ladysmith.

Ladysmith, trzecie z rzędu miasto w Natalu, liczące około 4500 mieszkańców, jest ważnym punktem kolejowym i strategicznym. Tutaj krzyżują się pociągi nadchodzące z północy przez Colenso. Ladysmith tworzy także punkt główny krzyżujących się żwirówek i linii telegraficznych, to też głównie z tego powodu obrał sobie komendant całej siły zbrojnej w Natalu, generał White, to

nieprzyjaciela. Naturalnie, że nie jestto jeszcze rozbicie armii angielskiej, ale bądź co bądź, dotkliwa klęska. Takie zdarzenie byłoby nią nawet w regularnej wojnie europejskiej, o ileż zaś donioślej przedstawia się ono na tle wojny kolonialnej, w której pół-brygada stanowi już prawie osobny korpus! Może więc klęska Anglików taki wywrzeć wpływ na dalszy przebieg kampanii w Natalu, że odrobić się to już nie da.

rzeniu z pod pióra. Nie szło tu przecie o pozycyę, którą Anglicy mieli utrzymać, jeno o taką, po którą sięgnęli.

Natomiast prawdą jest, że cała odpowiedzialność spada na komendę. Od początku wogóle kampanii gen. White popełniał liczne błędy, a wszystkie one ztąd wynikały, że nazbyt wielkie posiadał zaufanie w przewagę swych wojsk regularnych nad nieregularnymi zastępami Boerów.

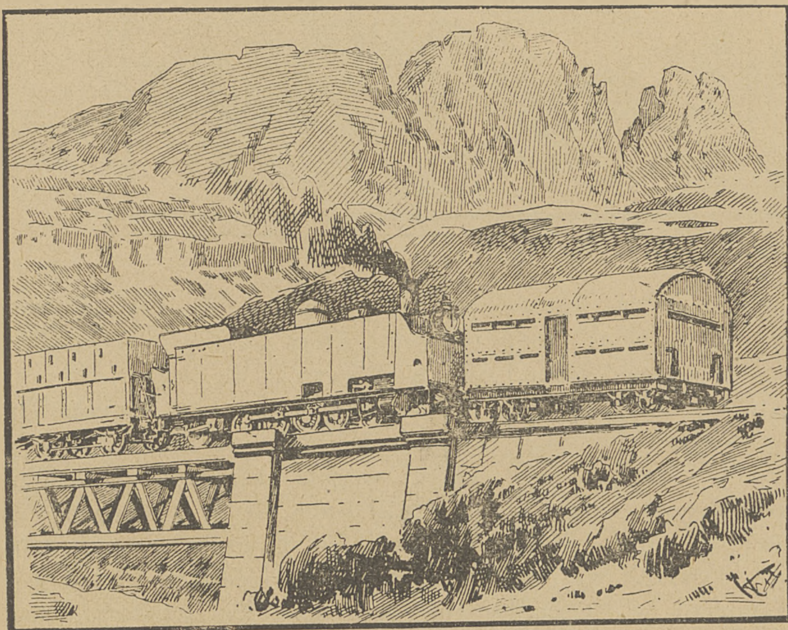


Mapa bitwy pod Ladysmith.

Na tej podstawie urządzał np. „pościgi“ za nieprzyjacielem, w których cały szwadron huzarów wzięty został do niewoli, a podobnego losu doświadczyło także kilka kompanii król. dublińskiego pułku fuzylierów. Gdyby nie owa niezmierna pewność siebie, byłby White nie dał się także w poniedziałek wywabić Boerom z poza szańców i uniknąłby był wówczas ciężkiej straty, jaką poniósł.

Usadowienie się Whitego w Ladysmyth było rezultatem pierwszych zaraz starć z nieprzyjacielem w Natalu. Ladismith istotnie najlepiej się nadaje do zadania, jakie wskazane zostało Whitemu.

Miał on tu mianowicie bronić się przeciw inwazyi, a zarazem tamować dalszy pochód Boerów na południe tak długo, aż nadejdzie sir Redwers Buller ze znaczniejszą siłą świeżych wojsk. Wiedzieli o tem Boerzy i w szybkich marszach, spiesząc od północy, okolili ze wszystkich stron pozycyę angielską. — White zdołał zdążyć jeszcze w porę do tego punktu koncentracyjnego.



Pociąg opancerzony. Colenso-Ladismith.

Pierścień oblężniczy ścieśniał się coraz bardziej, tak, że już 27 z. m. Anglicy próbowali gwałtem z po za szańców uczynić w nim wyłom ku północy.

Nie powiodło im się. I wówczas to White, rozdrażniony figlami, jakie płatali mu Boerzy, poszedł na lep ich i z całą załogą natarł na nieprzyjaciela w nadziei, że się przebije. Atak, wykonany w trzech kolumnach, trwał dnia 30 z. m. od wczesnego ranka do południa. — Prawe skrzydło spędziło na chwilę Boerów z wyżyn Lombardskop, lecz nie mogło wyzyskać sukcesu, nieprzyjaciel bowiem znalazł jeszcze lepsze oparcie na położonych za Lombardskop wzgórzach. Zamiast zadowolić się pozornem zwycięztwem, White całą swą siłę skierował w tę stronę i to go zgubiło. Wzięty ze wszystkich stron w siarczysty ogień, musiał cofnąć się po dotkliwych stratach, zostawiwszy jeden z oddziałów, całkowicie opasany przez nieprzyjaciela, na łaskę losu.

Łatwo odgadnąć, jakie wrażenie wywołała w Londynie wiadomość o tych wypadkach. Wszystkie pisma dają wyraz głębokiego bolu z powodu niesłychanego nieszczęścia. Zarazem przestrzegają ogół przed przecenianiem tego wypadku. Strata 2000 ludzi nie może zaważyć na szali wypadków wojennych. Anglia, choćby to Bóg wie ile miało kosztować, musi supremacyę swą utrzymać.

W kołach wojskowych sądzą, że Anglicy nie będą mogli utrzymać się w Ladysmith. Wzmiankę gen. Whitego, iż przyjmuje na siebie odpowiedzialność, tłomaczą sobie w ten sposób, że White pragnie, aby go odwołano.

X.



Z TYGODNIA.

Złą wróżbą dla oręża angielskiego była klęska pod Ladysmith. Cała prasa europejska, na wieść o porażce „czerwonych kołnierzy“ zagrzmiała fanfarą radości, która zdawała znajdować nowe ujście w prorokowaniu zamienionej interwencyi mocarstw kontynentalnych. Choćby jednak interwencya ta do skutku nie przyszła, to przecie położenie wojsk angielskich w Transwaalu do pozazdroszczenia nie jest. Do dnia dzisiajszego od chwili wybuchu wojny nie nadeszły jeszcze Anglikom posiłki pomimo ciężkich ich porażek. Posiłki wprawdzie z Londynu wyprawione zostały, jednak burza morska przeszkodziła wylądowaniu. Choćby jednak wojska angielskie w tych dniach nadpłynęły, to nie będą jeszcze mogły

Republiki Południowej Afryki.

Objaśnienia.
Granica Transwalu.
" państwa Orańskiego.
Kolej.
Droga.
Fort.
Kopalnia złota.
Kilometry.

Zakład fotochemigraficzny Antoniego Fiedlera w Poznaniu.

one wyruszyć w pole, dopóki nie nadejdzie artylerya i kawalerya, dopóki zresztą transport nie będzie zorganizowany. Znękane podróżą morską konie, potrzebują przynajmniej tydzień wypoczynku, zanim będą zdatne do służby. Anglicy przekonali się już, że siłą 50 tysięcy wojska, jaką rozporządza głównodowodzący wojskami angielskiemi, generał Buller, niepodobna opanować rozległej linii granicznej, aby naprawdę Boerów zmusić do odwrotu. Korespondent jednego angielskiego pisma donosi z pola walki, że żołnierze, którzy wrócili z niewoli nie mogą się dość nachwalić ludzkości Boerów. Boerowie czuwali przy rannych jeńcach i zdrowych nie krzywdzili. Spragnionym rannym dostarczają wody, okrywają ich kocami i t. d. Niektórzy Boerowie prosili żołnierzy angielskich o ich haftowane pasy, ale na odpowiedź, że w tych pasach są pozaszywane pieniądze, przeważnie żołd wojskowy, dali natychmiast spokój. Niektórzy ranni dawali Boerom pieniądze, których jednak wspaniałomyślni zwycięzcy nie przyjęli. „*Tylko jeden chciał łupić i obdzierać bezsilnych rannych* — dodaje korespondent *Daily Chronicle — i to nie Boer, ale Niemiec*“ (zapewne hakatysta. Przyp. Red.)

Dzienniki austryackie omawiają żywo sprawę zniesienia stempla dziennikarskiego, która weszła na porządek dzienny dzięki przedłożeniu naszego rodaka, ministra skarbu dra Kniaziołuckiego. Każda wydawana obecnie gazeta w Austryi musi być zaopatrzona w stempel, wynoszący około 2-ch fen. za egzemplarz. Wobec tego gazety są w Austryi szalenie drogie i dostępne tylko dla bogatej ludności. Usunięcie przestarzałego i nielicującego z nowożytnemi pojęciami podatku przyczyniłoby się do szerzenia oświaty pod każdym względem.

Niemiecki rząd, korzystając ze słabości Anglii wynikłej wskutek niefortunnej wyprawy transwaalskiej — zgodził się na zachowanie neutralności, ale drogo kazał sobie za nią zapłacić, wziął bowiem od Anglików wyspy Samoańskie. Wobec tej nowej zdobyczy kolonialnej, Niemcy podwójnej siły nabiorą w krzyczeniu o powiększenie marynarki wojennej, potrzebnej dla obrony tych nowych zdobyczy zamorskich. A ty biedny obywatelu państwa pruskiego płać po to, aby Leisty, Welauy i inne krwiożercze bestye kulturnego narodu mogły batem uczyć biednych murzynów podziwu i uznania dla kultury niemieckiej!

Wciąż co pewien czas pojawiają się w różnych gazetach zagranicznych pogłoski o chorobie Ojca św., lecz wieści te nie mają żadnej podstawy i są tendencyjnie fałszywe. Ostatnio wyraził się Ojciec św., przyjmując na posłuchaniu prywatnem jednego z wysokich dygnitarzy Kościoła, w ten sposób: „Nigdym nie czuł się zdrowszym jak obecnie. Łaska to Opatrzności i mogę powiedzieć, że każdy rok, dołączający się do poprzednich, zamiast mi barki przygniatać, zdaje mi się przynosić ulgę. W chwili wyboru mojego nie przypuszczałem bynajmniej, że zasiadać będę tak długo na Stolicy św. Piotra.“ Jakoż istotnie ubiegłego lata podczas wielkich upałów, gdy najsilniejsi ludzie czuli się osłabionymi, Papież pracował żwawo i zmuszał tem do pracy także i swych sekretarzy aż późno w noc. Przed operacyą wrzodu Ojciec św. chodził trochę zgięty pochylając się lekko na lewo; obecnie trzyma się prosto i chodząc ledwie posługuje się laską. Bardzo bolesne wrażenie wywarło na Ojcu św. skonfiskowanie przez królewskiego prokuratora dwóch ostatnich numerów gazety „Osservatore Romano“ za artykuł omawiający stosunki Włoch do Watykanu. Artykuł zresztą był nader umiarkowany.

K. O.



PRZEGLĄD PRASY.

Atak hakatystów na nasze duchowieństwo, na obywatelstwo wiejskie, na kupców i rzemieślników, na gazety polskie, na polskiego robotnika — jednem słowem na wszystko, co w jakikolwiek sposób pomawianem być może o aspiracye polskie — atak ten raz po raz czyni wy-

łom w prawach przynależnych Polakom i nie ma prawie tygodnia, abyśmy w pismach nie znaleźli wiadomości o jakimśkolwiek kroku władz, oznaczającym postęp usiłowań germanizacyjnych. W Chełmnie zniesiono naukę języka polskiego w gimnazyum. Pisze o tem **„Pielgrzym“** pelpliński, co następuje:

„W gimnazyum tutejszem zakazano brania udziału w lekcyach języka polskiego uczniom niższych klas włącznie do kwarty. W wyższych klasach, od tercyi począwszy, jeszcze tego pozwolenia nie zniesiono, lecz przebąkują, że od Wielkiejnocy rozciągniętym zostanie ten zakaz ponad kwartę. Przed kilku dniami rewidował gimnazyum nasze radzca ministeryalny dr. Meinertz. Domyślają się, że powyższy zakaz spowodował właśnie ten wysoki urzędnik.“

Wogóle już to nie mamy szczęścia do tych „wysokich urzędników rządowych.“ Niechno tylko któryś powiat lub obwód regencyjny nawiedzi wizyta jakiegoś berlińskiego wysokiego dygnitarza, a wnet ukazują się niepożądane skutki tego w postaci wszelkiego rodzaju eksperymentów, które, ściskając nas jak żelazną obręczą, mają przyczynić się do „uspokojenia walki narodowościowej“ — a wręcz przeciwny skutek wywołują. Widzimy to i w cytowanym powyżej wypadku usunięcia z planu nauk nauki języka polskiego.

„Gazeta Grudziądzka“ zamieszcza następujące cierpkie, lecz słuszne uwagi swego korespondenta:

„Rzecz prawie nie do uwierzenia, a jednakże prawdziwa. A więc w Chełmnie, w tem gimnazyum, utworzonem na podstawie starej wyższej szkoły polskiej, która tam przez całe wieki istniała, w tem gimnazyum zniesiono naukę języka polskiego we wszystkich niższych klasach aż do tercyi.

„I w jakiem się to państwie dzieje? Czy może w państwie rosyjskiem, w tem przez Niemców jako barbarzyńskie okrzyczanem państwie rosyjskiem? Broń Boże! oto w tem arcycywilizowanem państwie pruskiem, o którem pochlebcy mawiają, że przoduje światu pod względem cywilizacyi. Ta przez Prusaków okrzyczana barbarzyńska Rosya postępuje sobie inaczej, bo nie tylko, że nie zadławia języka polskiego, ale zaprowadza go we wszystkich klasach gimnazyalnych w całem Królestwie Polskiem i rozszerza jego prawa, a oprócz tego zaprowadza naukę języka polskiego nawet we wszystkich szkołach ludowych, gdy tymczasem w Prusach wyrzucają w gimnazyum chełmińskiem, tem jedynem gimnazyum, w którem język polski miał jakie takie prawa, jego naukę z wszystkich niższych klas aż do tercyi.

„Ani słowa, panowie; możecie się wobec Polakożerców poszczycić tem nowem bohaterstwem, ale czy Wam to drażnienie i rozgoryczanie ludności polskiej, czy Wam te łzy, które wyciskacie matkom i rodzicom polskim, na zdrowie wyjdą, to okaże przyszłość! Rozgoryczajcie, panowie ludność polską dalej, drażnijcie ją, podnoście ręce wasze na najświętsze jej obok religii św. skarby, wyciskajcie matkom i rodzicom łzy, wyciśnijcie ich całe morze; to morze łez polskich wołać będzie do nieba o pomstę.“

Wiemy zresztą komu to te wszystkie zakazy i wszelkiego rodzaju ścieśnienia praw mamy do zawdzięczenia; wiemy kto inscenizuje nagankę polityczną przeciw Polakom, jako obywatelom drugiej klasy — pan Wagner, były grudziądzki, a obecnie berliński przywódzca Hakaty sam się przyznał, że rząd tańczy, jak Hakata zagra. To wybitnie śmiałe przemówienie, na któreśmy już w poprzednim numerze zwrócili uwagę, charakteryzuje chyba wystarczająco polityczne cele hakatyzmu. Nie trudno też domyśleć się czytelnikowi, co za słowa nam się tu nasuwają pod pióro dla scharakteryzowania postępowania władz i równości wobec prawa, jeśli nasze polskie przemysłowe Towarzystwa są uważane jako polityczne, a Hakata pozostaje sobie — niepolitycznem. Niedawno temu na zebraniu Hakaty w Gdańsku usłyszeliśmy oświadczenie, że hakatyści starają się sterować wyborami do rad miejskich — to jest chyba nie — polityka? co, panie ministrze spraw wewnętrznych?

Ciekawe sprawozdanie z tego posiedzenia znajdujemy w **„Gazecie Gdańskiej“**, która zupełnie trafne do tego dołącza uwagi na temat równości wobec prawa.

„Mówca na zebraniu gdańskiej hakaty, p. radzca sądowy Lindenberg z Kościerzyny, oświadczył, iż hakatyści kościerscy zajmują się wyborami do rady miejskiej i udało im się nawet Niemców w trzecim oddziale przeprowadzić, rzecz w Kościerzynie od lat 18 niebywała.

„Wobec tego warto przypomnieć, iż polskie Towarzystwa dla tego, że niektórzy członkowie noszą maciejówki, lub z powodu urządzania obchodu Mickiewiczowskiego, albo też w końcu dla tego, że w lokalu zebrań wisi portret Kościuszki lub Jana Sobieskiego — uznawane bywają przez władze za Towarzystwa wywierające wpływ na sprawy publiczne.

„A więc jeżeli Polak nosi maciejówkę, to zdaniem władz — uprawia politykę; lecz jeżeli członek hakaty zajmuje się wyborami hakaty do rady miejskiej, to — zdaniem p. pastora Otto — uprawia tylko gospodarkę!!! Bądź tu mądry i patrz końca. Trzeba rzeczywiście już chyba posiadać rozum członka związku ewangelickiego, aby tak naiwnie wytłomaczyć działalność i cel hakaty.

„Za daleko doprowadziłyby nas może wnioski z takiego porównania, dla tego wolimy się na tem ograniczyć, lecz łatwo wnioski wysnuć sobie mogą czytelnicy sami.“

Dla objaśnienia dodajemy, że Hakata dla tego cieszy się opinią „niepolitycznego“ towarzystwa, aby mogła rozwijać swe filie i komunikować grupy miejscowe z zarządem centralnym podług § 8-go prawa o stowarzyszeniach, stowarzyszeniom politycznym nie jest wolno łączyć się pomiędzy sobą, gdyby więc Hakata została uznaną za towarzystwo polityczne, tak jak na to zasługuje, musiałaby się zrzec swej dzisiejszej organizacyi.

Smutną jest rzeczą, że w chwili, gdy polski żywioł tak jawnie napastowany przez zawziętych przeciwników, cieszących się protekcyą z góry, ostatnich sił dobywa w obronie egzystencyi — smutną jest — powtarzamy rzeczą, że Polacy nie mają *wśród siebie* tyle jedności i siły, aby rozumieć, jaką krzywdę społeczeństu wyrządzają, udzielając obfitych zysków u swego stołu Niemcom — ze szkodą Polaków. Doprawdy *niepoprawni* to ludzie, z których postępowaniem w tym względzie zajmować się muszą nasze gazety.

„Lech“ pisze:

„Rozgoryczenie panuje wśród obywateli powiatu witkowskiego, gdyż dr. R. z A., który przy budowie pałacu swego przeważnie tylko zatrudniał robotników niemieckich, nie uważał za stosowne brać udziału w wiecu ludowym w Witkowie, natomiast ani zdrowie, ani czas nie przeszkodziły mu brać udziału na uczcie wieczornej, pożegnalnej, w lokalu hakatystowskim w „Kaufhauzie“ witkowskim, dnia 31 października r. b.“

A gorszą jeszcze wiadomość podaje **„Dziennik Kujawski“**:

„Smutna pojawiła się pogłoska: hrabia Skórzewski na Lubostroniu zamierza podobno wydzierżawić majątki swoje Łabiszyn, Ojrzanowo, Smogorzewo i Oporówek, razem blizko 6000 mórg, ponownie na lat 18 Niemcom. Jedno z pism poznańskich nazywa zamiar ten „zdradą polskiego ludu“ i biada, że ciężko nas Opatrzność doświadcza przez tych, którzy ogółowi tylko dobrym służyć winni przykładem. Niestety narzekania — chociażby najsłuszniejsze — w takich razach, gdzie chodzi o kwestye dorobkowe i o ryzyko wielu tysięcy — same nic nie pomogą.“

Wobec tego z uznaniem powitać należy projekt, z jakim wobec tej wieści wystąpił **„Dziennik Poznański“**:

„Niestety ani nawoływania opinii bezsilne wobec uprawnionych względów zarobkowych, ani usiłowania i przykłady jednostek nie sprowadzą nam odmiany na lepsze, lecz potrzeba, żeby akcyą ratunkową w tej mierze podjęto zbiorowemi siłami.

„Widzimy coraz wyraźniej, że potrzeba, ażeby u nas powstało albo Towarzystwo, t. j. Spółka dzierżawców, albo, co wolelibyśmy, Spółka dzierżaw rolniczych, do której przystępowaliby tak samo dzierżawcy, jak i właściciele dóbr.

„Jesteśmy przekonani, że racyonalnie prowadzona instytucya taka, stałaby się wkrótce nietylko błogosławieństwem dla obustronnych interesentów, ale zarazem potęgą finansową i społeczną, którаby rychło zaczęła wywierać wpływ zbawienny i po za granice życia powiatowego.“

Życzyć tylko wypada, aby z projektem powyższym nie stało się tak, jak się tylekroć stało z podobnemi: aby nie utonął w morzu niepamięci. Jesteśmy przekonani, że możnaby u nas dostać potrzebną liczbę dzierżawców polskich, zwłaszcza gdyby się postarać o zachęcenie do dzierżawy większych majątków — tych młodych włościan polskich, których rodzice jako właściciele gruntów podmiejskich mają się dobrze i są w stanie zebrać potrzebny na dzierżawę kapitał.

Na zakończenie i uciechę czytelników podajemy zabawny fakcik do wiadomości publicznej, świadczący, jak przez powiększające szkła patrzą Niemcy na wszystko co piszą u nas gazety. **„Gazeta Toruńska“** pisze:

„Na patent zasłużył tłomacz „Danz. N. Nachr.“, który omawiając artykuły gazet polskich, przetłomaczył zdanie: „oklepany frazes zmarłego Bismarka“ na: „abgeklapperte Fratze des verstorbenen Bismarks.“ A więc słowo „frazes“ (Redensart, Phrase) znaczy u tego pismaka tyle co „fraca“ lub „morda“. Niechby sobie dał zwrócić pieniądze od tego, u którego pobierał lekcye języka polskiego. Boki zrywaćby można ze śmiechu, czytając podobne płody wybujałej fantazyi, gdyby nie to, że owo tłomaczenie ma posłużyć do świeżej denuncyacyi. Tym razem atoli sprawka się nie udała.

Swoją drogą niemiecki tłomacz swego Bismarka uczcił, bo uczcił! Wart orderu za to. *B. M.*



Jubileusz.

Kartka z życia Polaków na obczyźnie.

Zagnany, zawiany, z kajdannym szeregiem,
Ćwierć wieku nasz orzeł przeleżał pod śniegiem!
I owo ten samy, — gdy wiosna u bramy,
Rozstrzepał się nagle wartkiemi piórami,
Nad sinym Dunajem!.....

T. Lenartowicz.

W stolicy węgierskiej, — w Budapeszcie, — obchodzić będzie, dnia 2 grudnia b. r. gromadka Polaków, dziesiątą rocznicę poświęcenia sztandaru narodowego.

W życiu stowarzyszeń polskich, w ogólności rozsianych na obcych naszemu narodowi ziemiach, już sam fakt poświęcenia sztandaru polskiego, — jako bardzo rzadki, a może wyjątkowy nawet jest bezsprzecznie doniosłego znaczenia. Gromadka ludzi dobrej woli i wiary, skupiająca się dziś pod dachem *„Stowarzyszenia Polaków“*, postanowiła uczcić dziesięciolecie uroczystego poświęcenia sztandaru polskiego mszą i wieczorem, w tym celu urządzić się mającym w lokalnościach Stowarzyszenia.

Opis tego obchodu pozostawić trzeba na później, pozwalam sobie jednak poczciwej „Pracy“, przesłać wiązankę reminescencyi z przed dziesięciu laty, — a może one zainteresują Czytelników i dadzą pochop Stowarzyszeniom polskim, na kresach pracującym, do naśladowania Stowarzyszenia Polaków w jego patryotycznej działalności.

Było to w roku 1888. Gromadka Polaków zamieszkałych w Budapeszcie utrzymująca tu od lat 30 przeszło Stowarzyszenie narodowe, wystąpiła, — jak zwyczajna czynić to corocznie, przed grobem powieszonego w wypadkach węgierskich z 48 i 49 roku rodaka naszego, ks. Mieczysława Woronieckiego na cmentarzu miejskim. Po mowie, odśpiewaniu pieśni i po złożeniu wieńca, wróciliśmy gromadnie do lokalności Stowarzyszenia. Tu przy wspólnej biesiadzie rzucona została myśl sprawienia dla Stowarzyszenia, — sztandaru polskiego jako godła. Myśl znalazła poparcie, a komitet wybrany z trzydziestu Polaków ukonstytuował się dnia 15 listopada 1898 r. i pod przewodem, niegdyś wice-prezesa Stowarzyszenia, — znanego tu kupca, pana Tomasza Gurowicza, — rozpoczął swe prace. W Budapeszcie, mamy moc obcych Węgrom Stowarzyszeń narodowych, wszelako, Niemcy, Francuzi, Włosi, Serbi, Rumuni, a i wreszcie Słowacy, mający tu swoje stowarzyszenia i kluby bogate a liczne, nie posiadają swoich godeł narodowych, ze Stowarzyszeń zaś *polskich*, w stolicach europejskich istniejących, pierwszem jest i jedynem Stow. Polaków w Budapeszcie, które posiada od lat dziesięciu i występuje zawsze i wszędzie na zewnątrz, ze sztandarem narodowym, jako godłem swojem. Charakterystycznym, ale i pocieszającym jest fakt, że do komitetu *„sztandarowego“* zapisali się ongi z liczby członków Stowarzyszenia, przeważnie *rzemieślnicy* nasi, stanowiący na owe czasy kontyngens bardzo niewielki w Stowarzyszeniu. Komitet rozpoczął pracę mszą, na pomyślność sprawy, — pracował zaś z wielkim zapałem, przez całe sześć miesięcy, i dnia 3 maja 1889 roku, oddał wspaniały sztandar iście polski na usługi Stowarzyszeniu.

W istocie takiej uroczystości, jaką było poświęcenie polskiego sztandaru, nie widział dotąd Budapeszt od czasu wypadków 48 r., podczas których, w asystencyi generała Wysockiego święcono tu polskie chorągwie, dla legionów naszych.

Sprężysty i ruchliwy komitet sztandarowy, zaprosił wszystkie Stowarzyszenia polskie z Galicyi i cechy, a także drużyny *„Sokołów“* z kilku miast glicyjskich. W Budapeszcie wszystkie Towarzystwa weteranów wojskowych, wszystkie korporacye, cechy i stowarzyszenia przyjmowały współudział w uroczystem poświęceniu polskiej chorągwi, polityczne nawet kluby sejmu węgierskiego i wiele, bardzo wiele wybitnych osób świata politycznego, reprezentantów sztuki i nauki, kół artystycznych i literackich. Żupani i nadżupani komitatowi (powiatowi) na Węgrzech, gminy i miasta przysyłały swoje *gwoździe*, jako dowody współczucia, współudziału i sympatyi dla naszej sprawy, które dziś ozdabiają *drzewce* sztandaru naszego. Komitet udał się był także w swoim czasie z adresem do cesarza Franciszka Józefa, od którego w odpowiedzi otrzymał 100 złr. na cel sztandaru Stowarzyszenia i wspaniały srebrny gwóźdź z napisem polskim, przechowywany z całym pietyzmem przez Zarząd Stowarzyszenia.

Na dzień 5-go maja (uroczystość poświęcenia) w 1889 roku, miasto Budapeszt oddało na usługi komitetu swój własny, ale pysznie udekorowany pawilon w lasku miejskim, w którym odbywała się ceremonia *„wbijania gwoździ“* przez osobistości, instytucye, kluby, stowarzyszenia, korporacye i cechy zaproszone. Rano w kościele OO. Franciszkanów odbyła się solenna msza przy trzech oktawach, poczem sztandar, trzymany przez Ojców chrzestnych (dra Ferdynanda Weigla i Teodora Baranowskiego z Krakowa), którzy wystąpili na tę uroczystość w Budapeszcie w przepysznych strojach polskich, w obecności Matki chrzestnej (pani Maryi Włodkowej z Krakowa) został uroczyście poświęcony, — na chórze ozwała się pieśń *„Boże coś Polskę“*, a przeor zakonu, ks. Alexander Baan, wbił jednocześnie pierwszy gwóźdź w drzewiec sztandarowy, imieniem *„Boga i kościoła“*. Po ceremonii kościelnej, w otoczeniu wszystkich Stowarzyszeń budapeszteńskich i krajowych przy akompanjamencie pięciu orkiestr weteranów wojskowych i niezliczonych tłumów publiczności „Sokoli“ nasi w mundurach wynieśli sztandar z kościoła i w pochodzie wspaniale ugrupowanym prowadzili go przez całe miasto do pawilonu, gdzie się odbywała ceremonia *„wbijania gwoździ“*. Bankiet i bal publiczny, a nazajutrz przyjęcie gości w Stowarzyszeniu, oto były dotatkowe części programu, uroczystość poświęcenia sztandaru przed 10 laty składające. Po za Budapesztem, Stowarzyszenie Polaków, występowało już ze swoim sztandarem w Aradzie, przy poświęceniu pomnika straconych jenerałów wystawionego i przy pogrzebie zwłok Mickiewicza w Krakowie w r. 92.

W archiwum Stowarzyszenia Polakòw przechowuje się 5,700 listów odnoszących się do sprawy poświęcenia sztandaru i dwa wiersze (rękopisy) Teofila Lenartowicza, poświęcone i napisane przez poetę ku uczczeniu uroczystości poświęcenia. Między listami znajdują się rękopisy ks. Alexandra Batenberga (hr. Hartenau) po francuzku, dalej Ludwika Kossutha, Ujejskiego Kornela, oraz pułkownika Miłkowskiego i wiele, wiele innych, cennych i drogich sercu polskiemu dokumentów.

Dzisiaj *Stowarzyszenie Polaków w Budapeszcie* przystępuje do obchodu 10 letniego *jubileuszu* tej pamiętnej uroczystości. „Szczęść Boże“ przy dalszej *„pracy“*, przesyła gromadce Polaków współtowarzysz doli i niedoli Stowarzyszenia

J. S.



Listy z Galicyi.

I.

Kochany Przyjacielu!

Żądasz odemnie, abym się z Tobą podzielił z spostrzeżeniami, do których dał mi sposobność mój kilkotygodniowy pobyt w Galicyi. Postaram się — choć wyznam, żem spostrzeżeń swych nie zdołał jeszcze uporządkować w ten sposób, aby przebijał w nich pewien jednolity pogląd na stosunki tu panujące. Im bardziej wpatruję się w życie tutejsze, tem mniej mam nadziei, aby mi się kiedykolwiek udało dojść do jakiego jednolitego poglądu na kraj ten i ludzi. A to z bardzo prostej przyczyny: życie składa się z jakichś oderwanych fragmentów i daremnie byś w niem szukał konsekwentnego ugrupowania szczegółów w stosunku do całości. Widziałeś zapewne miasta lub dzielnice miast, które, skutkiem jakiejś silnie działającej ekonomicznej sprężyny, nagle zaczynają się szybko zabudowywać.

Obok zasypanego gruzami bagna wznosi się piękny kilkopiętrowy dom mieszkalny, dalej chatka jakaś ogrodzona chwiejnym płotem przytula się do potężnych murów zabudowanego na wielką skalę terenu fabrycznego — i tak dalej wzrok twój napotyka same kontrasty, same przeskoki. Galicya robi na mnie wrażenie takiego właśnie szeregu kontrastów.

Przedewszystkiem na polu oświaty.

W ciągu krótkiego czasu mego pobytu we Lwowie zdołałem poczynić kilka spostrzeżeń na tem polu. Rzuciła mi się w oczy niezwykła chciwość, z jaką niższa warstwa ludności garnie się do czytania. Jadąc tramwajem wyrzuciłem na ulicę przeczytaną już gazetę i trzeba Ci było widzieć, jak ku tej szmacie zadrukowanego papieru wyciągnęło się równocześnie kilka par rąk, z chciwością, zdradzającą prawdziwy głód duchowy.

Eksperyment ten sam powtórzyłem kiedyindziej — z tym samym rezultatem. Analogicznych spostrzeżeń zrobiłem kilka. W pewnej małej restauracyjce, do której chodzę często na śniadanie, porzuciłem kilka numerów rozmaitych gazet; zaciekawiło mnie już bowiem, co się z niemi stanie. Czy mi je skwapliwie oddadzą z powrotem, czy je zniszczą, lub pozwolą zabrać gościom. —

I cóż powiesz? Gdym w kilka dni później zajrzał do tej restauracyi, zobaczyłem moje gazety — były berlińskie, więc omyłka wykluczona — pięknie poprawiane na drążkach i przeznaczone dla użytku gości. Przyznam Ci się, imponowało mi to poszanowanie drukowanego słowa — imponowało mi jeszcze więcej, gdym w bardzo wielu oknach mieszkań prywatnych zauważył kartkę z napisem: „tu można abonować z drugiej ręki X. X. pismo.“

„Galicya jest biedna, pomyślałem sobie, nie każdy zdobyć się może na poniesienie kosztów abonamentu — ale z godnością znosi swe ubóstwo.“

Gdym się dzielił temi spostrzeżeniami w towarzystwie kilku światłych tutejszych obywateli, mimowoli nasunęło mi się pytanie, jakim sposobem Galicya ma tak liczny procent analfabetów, jeśli z jednej strony niższe warstwy ludności odznaczają się taką chęcią czytania, a z drugiej — kraj nie szczędzi kosztów, aby zakładać szkoły, które — o ile mi wiadomo — jakościowo i ilościowo zadowolnić by mogły życzenia wybredniejszego nawet społeczeństwa.

Odpowiedziano mi na to, że większość dzieci wiejskich po opuszczeniu szkółek ludowych doszczętnie zapomina owoców swej nauki. Stosunki po wsiach są takie, że nabyte w szkole wiadomości rdzewieją jak broń stara w zbrojowni, o którą nikt się nie troszczy — aż wreszcie zjada je rdza zapomnienia.

Zaiste fakt tak z poprzedniemi sprzeczny, że mimowoli nasuwa ci się na myśl obraz nędznej lepianki, stojącej obok czteropiętrowej kamienicy, którą budują z całym komfortem.

Lecz mało tego. Są rzeczy mniej dziwne, a bardziej wstrząsające nerwami. Od czasu, gdy tu bawię, coś około 2 tygodni — czytałem w pismach już o dwóch samobójcach, którym nędza wcisnęła w rękę broń zabójczą. Jeden z nich był literatem-dziennikarzem starszej generacyi, drugi — adwokatem, który cieszył się jak najlepszą opinią. I nie wiem po dziś dzień doprawdy, czemu się więcej dziwić i nad czem więcej ubolewać: czy nad tem, że widocznie ludzie inteligentni są najmniej poszukiwanym artykułem w Galicyi, czy nad tem, że przyzwyczajeni do spokojnego i zapewnionego bytu urzędniczego, tracą odwagę do życia, gdy nadejdzie pierwszy, a oni pieniędzy na cały następny miesiąc nie mają.

Dotknąłem tu dwóch kwestyi pierwszorzędnej wagi dla Galicyi: kwestyi nadprodukcyi inteligencyi i kwestyi urzędniczej, a raczej, jakbym ją rad nazwać, kwestyi „zurzędniczenia“ tutejszego społeczeństwa. Obie te kwestye pozostają w pewnym ze sobą związku.

Nadprodukcya inteligencyi — jest to właściwie absurdum, czyli mówiąc językiem filologów *contradictio in adiecto.* Podług ludzkiej rachuby i rozumu zadużo inteligentnych ludzi w żadnem społeczeństwie być nie może i nie ma. Lecz może być pewna nieproporcyonalność pomiędzy wykształceniem pewnych klas a całości społeczeństwa. Tak jest w danym razie. Nieproporcyonalność ta jest uderzającą: po jednej stronie adwokat, człowiek z akademickiem wykształceniem, który nie jest w stanie zarobić jakichś marnych 100 guldenów miesięcznie na swe utrzymanie — po drugiej stronie chłopak wiejski, zapominający na wsi czytać i pisać. Zdaniem mojem, pomiędzy temi zjawiskami jest pewien związek przyczynowy. Oświata — a ma ona być miarą dobrobytu i rozwoju społeczno-ekonomicznego, zwłaszcza u klas niższych — zamało się przyjęła u podstaw, u fundamentów społeczeństwa galicyjskiego. Dlatego też te słabe fundamenty nie są zdolne utrzymać tak licznej inteligencyi wyższej, jaką się tu napotyka. Nie chcę jednak twierdzić, aby ta inteligencya nigdy i wśród żadnych warunków nie mogła znaleść oparcia na samej sobie. Owszem — jest tak, ale — nie w Galicyi. Tam, gdzie przeciętny człowiek inteligentny opiera swą egzystencyę materyalną na zarobkowaniu w handlu, w przemyśle, w przeróżnych zawodach noszących ogólne, przedawnione miano „wolnych“ — tam rzec można, opiera się ona sama na sobie. Lecz w Galicyi inteligencya szuka zapewnienia bytu materyalnego jedynie w karyerze urzędniczej a kto z tą karyerą się minął — ten się niejako wykoleił społecznie. Swoboda ruchów, wynikająca z zawodów niezależnych, zupełnie inaczej oddziaływuje na charakter, niż karyera urzędnicza: pierwsza rozwija samodzielność i odwagę we wszystkich sytuacyach życia, druga — bezradność w razie życiowego zawodu, w razie ruiny materyalnej. Pojmujesz zatem, dla czego ci wykształceni ludzie odebrali sobie życie, pomimo że są setki tysięcy ludzi w Galicyi na niższych szczeblach oświaty? — oto po prostu dla tego, że nie byli urzędnikami...

Widzisz więc, że im bardziej się wpatrywać w ustrój społeczny Galicyi — tem więcej odnaleść można w nim cech podobieństwa do miasta, którego szybki rozwój naruszył dawną harmonię całości a nowej nie stworzył; — którego jedne ulice przedstawiają się po wielkomiejsku, inne po małomiejsku; — które składa się z fragmentów przeszłości i przyszłości, nie zespolonych w jednę konsekwentną całość przez silną dłoń teraźniejszości.

Kazimierz Radwan.



NA DOBIE.

Szanowna Redakcyo!

Przysłowie mówi: „Póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.“ Takie przysłowia nie powstają same z siebie z niczego lub bez przyczyny, lecz są zazwyczaj dobrze uzasadnione i zawierają zawsze jakieś źdźbło prawdy. Tak jest i z powyżej przytoczonem przysłowiem.

Historya powszechna bowiem uczy, że Niemcy z bardzo rzadkiemi wyjątkami zawsze występowali wrogo wobec Polski i wobec Polaków, gdy przeciwnie Polacy okazywali Niemcom wiele przyjaźni. Przyjmowali ich chętnie u siebie z tą szczerą staropolską gościnnością, która i do dziś dnia u Polaków nie wygasła. Pozwalali Polacy Niemcom osiedlać i bogacić się na polskiej ziemi, czego dowodem Śląsk i Wielkopolska, mianowicie Śląsk, dokąd tysiącami przybywali niemieccy osadnicy, ażeby otrzymać w darze ziemię od książąt piastowskich.

I jak się nam Niemcy wywdzięczyli za nasze dobre serce?

Otóż, król Fryderyk zwany Wielkim, pierwszy przyłożył rękę do tej zbrodni historycznej i zabrał nam znaczną część kraju.

Nie myślmy czasem, że tendencye hakaty są jakim nowoczesnym wynalazkiem. Nie, bynajmniej, tylko nazwa jest nowoczesną. Nienawiść ku nam, oddawna Niemcom wrodzona, występuje tylko w innej postaci pod nazwą „hakata“.

A „ausrotten“ było praktykowanem od najdawniejszych czasów. Cesarz Karól Wielki (około r. 800) ujarzmiał już słowiańskie szczepy, a jego późniejsi następcy przewyższali go jeszcze w tem rzemiośle. Nawet taki margrabia Gero od „Ostmarki dawniejszej“ (żył w dziesiątem stuleciu) zajmuje w historyi niemieckiej ważne miejsce jako pogromca i tępiciel Słowian.

Z jaką konsekwencyą germanizacya postępowała, widzimy dzisiaj. Jeżeli bowiem w myśli pociągniemy linię od Kilonii do Triestu, to otrzymamy granicę dzielącą dawniej Słowian od Germanów; kraje po prawej stronie tej linii zamieszkiwały mniejwięcej przed tysiącem lat słowiańskie szczepy, a dziś?

Jedynemi istniejącemi jeszcze dowodami, które zadają kłam wszelkim szowinistycznym frazesom niemieckim o „urdeutsches Land“ są Łużyczanie (Wendowie), a potem nazwy rzek, okolic, miast, które jakkolwiek mocno poprzekręcane, mają wyraźną cechę słowiańskich początków. Nienawiść do nas nie wybuchała jednak nigdy tak gwałtownie jak obecnie. Przekonać się możemy o tem z tysiącznych artykułów i artykulików, broszur i książek przeciwko nam skierowanych, a opartych najbezczelniej na przekręcaniu prawdy historycznej. Jest zaiste zdumiewającem, że my, Polacy, mamy tak mało poszanowania samych siebie, że ignorujemy najczęściej te ataki prasy niemieckiej i w dodatku ją popieramy o tyle, że dziesiątki osób w każdem mieście znaleźć można, które, będąc Polakami, należą do zdecydowanych zwolenników rozmaitych pism niemieckich.

Smutnem to jest zaiste! Niedawno wpadło mi w rękę jedno z niemieckich pism tygodniowych, w Księstwie niezmiernie rozpowszechnionych, a w niem — cały szereg oburzających kłamstw o Polakach.

Ileż to nieznających historyi ojczystej Polaków najfałszywszych ztąd o przeszłości Polski nabierze wniosków i pojęć! Dlatego więc pozwalam sobie na ręce redakcyi „Pracy“ jako najpoczytniejszego w Wielkopolsce pisma złożyć do braci-rodaków apel: *Nie czytajmy i nie wprowadzajmy w koła rodzinne piśmideł niemieckich, lecz wytrwale popierajmy pisma polskie!*

Z szacunkiem

Oleś z Piotrowa.

* * *

Rogoźno, w listopadzie.

Szanowna Redakcyo!

Widzę, że jakoś Rogoźno należy do tych miast, z murów których na łamy „Pracy“ nie przedostaje się żadna wiadomość, więc poczęści chcę wywiązać się z tego obowiązku za moich współobywateli. Niestety, nie mogę pochwał na cześć Rogoźna wyśpiewać!

Ach, jak smutno tu wygląda! Inne miasta mają kilka Towarzystw polskich, a Rogoźno?! Jedyne jedno, przemysłowe, a i to w letargu, od czasu do czasu raczy się tylko zbudzić z głębokiego snu, t. j. co rok raz, by odegrać jaką komedyjkę, pohasać i pohulać do rana i popaść znów w odrętwienie po zbyt ciężkiej pracy. Czy to jakie podbiegunowe miasto, że tak mało słońca, tak mało światła, tak mało ruchu — a tak wiele snu?!

To też dotkliwie się daje uczuć w Rogoźnie brak polskiego ogniska życia towarzyskiego. Zwłaszcza na polu towarzyskiej pracy Rogoźno jest tak zaniedbanem, że nawet zabawy i bale odbywają się nie pod polskiem hasłem.

„Sokołów“ nie mają tu, ale za to garną się gromadnie pod niemieckie sztandary, na których „ausrotten“ wypisano, by uczcić Bachusa, zaśpiewać sobie „Deutschland, Deutschland über Alles“, by wziąwszy od niemiaszków słodyczy huk w kieszenie, zanarkotować się dymem tytuniowym, by nie odezwał się dźwięk jakiej poczciwej struny i nie ścisnął ich nader luźnego sumienia. Ale — by uczcić w przeszłym roku naszego wieszcza, którego poezyi duszą jest heroizm, nie znalazł się ani jeden mąż w całym Rogoźnie, którypy zdobył się na trochę odwagi wobec rządu i społeczeństwa niemieckiego, musiał przybyć proboszcz gdzieś tam z innego miasta, aż o dwie mile oddalonego, by zgromadzić trwożliwą trzódkę dla oddania hołdu Mickiewiczowi w stuletnią rocznicę jego urodzin. W tem się nie dopatrzyło polskie społeczeństwo Rogoźna moralnego policzka, bo i w tym roku jeszcze się nie zabrało i chwilowo też jeszcze nie myśli się zabrać do dzieła, by spełnić swą wdzięczność wobec Słowackiego i Chopina, by uczcić ich pięćdziesiątą rocznicę śmierci publicznym obchodem, a przez to zapoznać szersze koła z temi dwoma perłami Polski i wzniecić dla nich miłość i poszanowanie, by przypomnąć ogółowi, że czas zamienić przewodnią ideę ich utworów w czyn i życie.

Lecz nasi obywatele do tego, niestety, niedorośli! Obcą im jest — a przynajmniej większości — polska piękna literatura i bogate piśmiennictwo, więc skądże ma się wziąść w ich sercu iskierka narodowa? Tai się też ona w kilku gronach rodzinnych, jak gdyby bojąc się światła dziennego i publiczności. Prawda, każdy wymawia się tem, że ma ważne powody do owego biernego zachowywania się względem spraw polskich, oto urzędnik nie może się rządowi narazić, bo by może nie dostał lepszej posady, gdyż rząd po dziś dzień zwraca uwagę na przekonanie narodowe, adwokat nie dostałby notaryatu, doktor znów kasy lecznicy miejskiej, zresztą obydwaj wskazani na niemiecką klientelę, to samo kupcy i przemysłowcy, bo przecież z dzisiejszą konkurencyą walczyć, to nie fraszka! Co się jednak stanie z *naszą sprawą*, jeśli tak każdy będzie się obawiał złożyć jej choć cokolwiek w ofierze? Nie gniewajcie się na mnie za tę filipikę, mieszkańcy Rogoźna, gdyż zawiera tylko prawdę, a żadnego oszczerstwa, bo nie będziecie w stanie na swą obronę, dla swego uniewinnienia przytoczyć faktów, któremi byście mogli dowieść, żeście dbali o sprawy polskie, a na każdym kroku ich nie zaniedbali.

O jakże cieszyłbym się, gdyby odpowiedź którego z Was, mieszkańcy Rogoźna, na łamach „Pracy“ umieszczona, przekonała mnie, żem się mylił i żem niesłuszne Wam czynił zarzuty? Chętniebym odwołał i publicznie przeprosił za to dzisiejsze gderanie, które jednak jedynie troskliwość o dobro ojczyste mi dyktuje.

Wacław N.



SZARYTKA.

O cicha Siostro! Sługo Chrystusowa,
Na miłosierdzia wzniosłaś dom opoce,
Pan go w dostatku, w pokoju zachowa,
Operlą go łzy sieroce!

O cicha Siostro, swoją wątłą dłonią
Na fundamentach wzniosłaś dom niezłomnych,
Od burz i wichrów zawsze go osłonią
Modlitwy sierot bezdomnych!

O cicha Siostro, łatwo rzucić złotem,
Kto ma go dużo... (niechaj Bóg mu płaci!)
Lecz żywić tchnieniem swem i krwawym potem
Najmniejszych z maluczkich braci,

Oddać im chwile swe, godziny, lata,
Ukochać nędzę wstrętną, starość brzydką,
A za to wzamian usłyszeć od świata:
„Od tego jesteś — Szarytką!“

To bardzo trudno! Nie — to bardzo lekko,
Gdy tak się kocha, jak ty kochasz Pana!
. . . .
Mlekiem i miodem kamienie pocieką
Pod twoją ręką — wybrana!

Bożymir.

Polacy na obczyźnie.

Polacy w Westfalii. Wiec polski w sprawie opieki duchownej w języku ojczystym odbył się w Gelsenkirchen dla parafii Gelsenkirchen, Schalke, Braubauerschaft i Rotthausen.

Pan Stefan Rejer zdał nasamprzód sprawę z czynności komitetu dla sprawy tej zawiązanego. Ze sprawozdania tego wykazuje się, że władze duchowne w Paderbornie obiecywały uwzględnić życzenia Polaków. Kiedy jednak do sierpnia r. b. nie ustanowiono księdza Polaka, postanowiono wysłać do władzy biskupiej deputacyą i na odnośne zapytanie, czy ks. biskup Simar deputacyą przyjmie, nadeszła odpowiedź, żeby życzenia przesłać na piśmie, a skutek będzie ten sam.

Wobec tego nie pozostaje Polakom nic innego, jak przez częste wiece i liczne zbieranie się na nich zadokumentować wyraźne swoje życzenia, dotyczące się opieki duchownej w ojczystym języku.

Przemawiali jeszcze panowie: Chełmiński, Wilkowski, Ignacy Szczot i Jan Pośpiech.

W końcu przeczytano i przyjęto petycyą do księdza Simara, biskupa Paderbornskiego, wystosowaną w sprawie powyższej.

W Kirchlinde, jak pisze „Wiarus“ bochumski, odbyła policya rewizyą książek Towarzystwa św. Marcina. Wypytywano sekretarza, w obecności którego rewizyą odbyto, czy Towarzystwo posiada śpiewniki, czy członkowie posiadają śpiewniki, od kogo je sprowadzają, czy śpiewają pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła“ i „Z dymem pożarów,“ czy zarząd zakazuje członkom pod karą, aby nie używali niemieckich wyrazów itd. Podobne rewizye odbywać się mają i w innych Towarzystwach polskich w Westfalii.

* * *

Sao Paulo, 15-go października 1899.

Szanowny Panie Redaktorze!

Kółko zamieszkałe w Sao Paulo moich znajomych i przyjaciół, nie daje mi chwili spokoju przez naleganie o nadesłanie przez Łaskawego Pana Herbu kolorowanego, zamieszczonego w nr. 27 „Pracy“. Otóż będąc w nadziei, że Szan. Pan nie ograniczył liczby nakładu odnoszącej się tylko do abonentów, będzie w możności nadesłać kilka egzemplarzy dla tutejszej kolonii polskiej na „Gwiazdkę“...

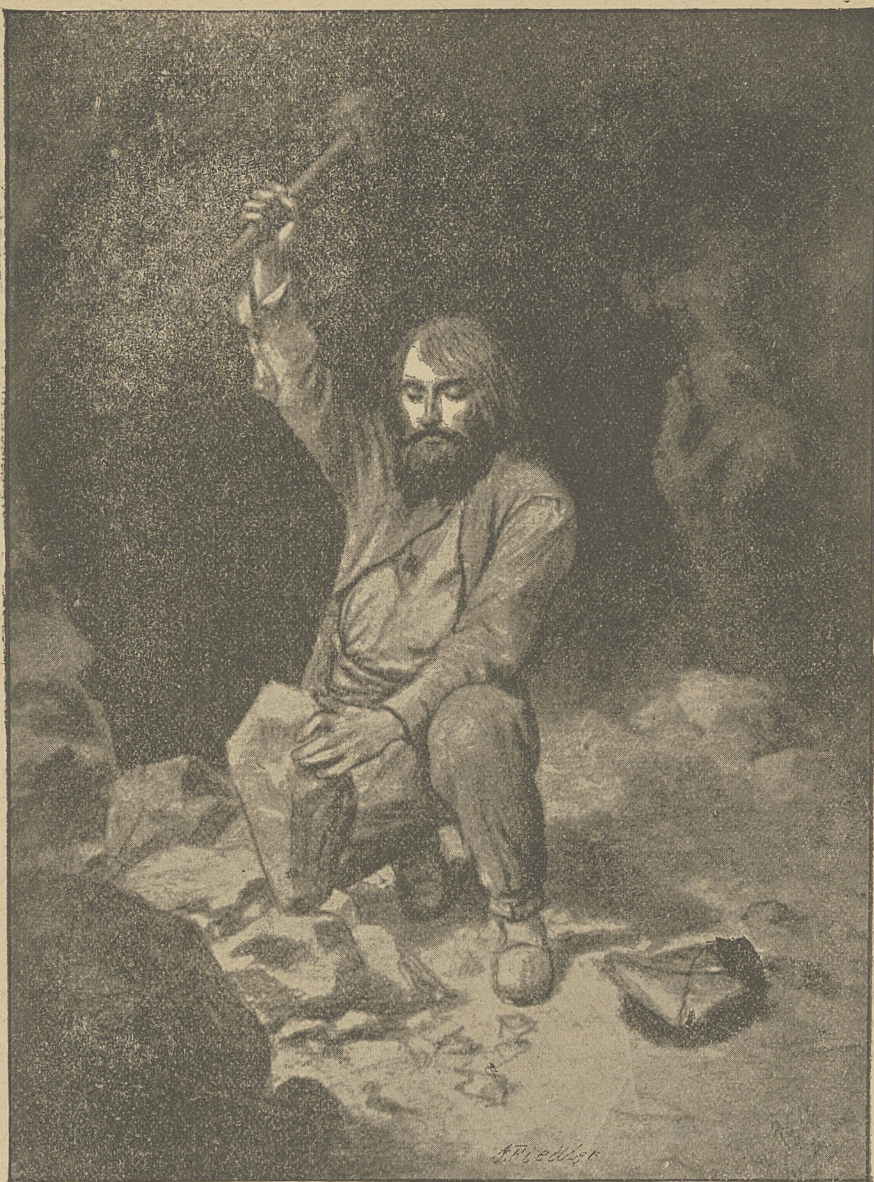
Nadmienić mi wypada, że tutejsza kolonia polska składa się przeważnie z Kongresiaków, którzy w życiu swem nie widzieli coś podobnegn, a zatem herby kolorowe są bardzo u nas pożądane...

Pozostaję z wysokim szacunkiem

Teofil Kaźmierski, rodak z Poznania.

Herby wysłaliśmy i dziękujemy serdecznie za łaskawą pamięć. Przyp. Red. „Pracy.“





Mazur kajdaniarski.

Do mazura stań wesoło,
Buntownicza wiaro!
Suń wesoło, dalej w koło,
Warszawo i Karo!

Wróg ma dla nas kajdan dużo,
Ma też dużo turem,
My weseli, bo kajdany
Dzwonią nam mazurem!

Nam pałacem — turma, Kara,
Dla nas strój balowy
Katorżnicka kurtka szara
I znaczek ponsowy!

W tych pałacach i w tych strojach
Hulamy ochoczo,
Bo nam myśli i sumienia
Zgryzoty nie mroczą.

Uczuć naszych mur nie studzi,
Płoną one żarem
I w tem piekle żyjem młodzi
Całym życia czarem!

Dziewcząt naszych ocząt blaski
Nie mglą łzy zwątpienia,
Bohaterskich ich serduszek
Nie łamią cierpienia.

I wesołych piosnek dźwięki
Z ich ust płyną mile,
Że nie zgadniesz, jak bolesne
Przeżywały chwile.

Gdy którego stryczek zdusi,
I to bagatela,
Bo człek każdy umrzeć musi,
Gwałt rodzi mściciela.

Nasi pomszczą, jak należy,
Śmierć zmarłego brata
I na grób mu zamiast wieńca
Rzucą głowę kata.

Zgrzyt łańcuchów i szczęk broni
To mazur ochoczy.
Od tej nuty serce rośnie
I śmieją się oczy.

A gdy tańca czas nadejdzie,
Nasze kazamaty
Wam wybiją takt mazura
Łańcuchem o kraty.

Taki będzie silny, dziarski,
Że pękną ogniwa,
A nasz mazur kajdaniarski
Pół Polski zaśpiewa.

I po kraju dźwięk przeleci
Jako marsz parady,
W takt mazura pójdzie raźno
Lud na barykady.

Gdy na skoczne te akordy
Wstanie lud nasz cały,
To najśmielsi poprowadzą
Raźny mazur biały.

Po nim słonko mrok rozproszy,
I zniknąją jak mara
Sybir, kraty i kajdany
Z gospodarką cara.

Pod dach własny każdy wróci
Zdrów, wesół i dziarski
I dzieciakom swym zanuci
Mazur kajdaniarski.

(Wiersz ten przedrukowujemy z „Robotnika“, pisma tajnego, wychodzącego w Warszawie. Pisał go Ludwik Waryński, jeden z najznakomitszych patryotów doby ostatniej, w Cytadeli, po otrzymaniu wyroku, skazującego go na 16 lat katorgi.)



Korespondencye „Pracy“.

Z wieca w Witkowie.

Ponieważ we wszystkich pismach umieszczono obszerne sprawozdanie z wieca wyborców w Witkowie, więc nie wiem czy „Praca“ swym czytelnikom będzie chciała podać sprawozdanie pełne, które niejednego by znudziło, tem bardziej, że „Praca“ już przed owym wiecem w artykule politycznym głównym wyświetliła jego znaczenie i nawiązała do ogólnej sytuacyi politycznej. Radbym jednak, aby o jednej mowie dowiedzieli się czytelnicy „Pracy“ z ust człowieka, który był obecny na wiecu i widzi w niej najważniejszy objaw. Mowa to wygłoszona przez gospodarza z Małachowa — Szemborówka, pana Gabińskiego. Jako pracownik od roli, jako przedstawiciel włościaństwa polskiego, wygłosił ten mówca znakomite słowa na wiecu, które oby tylko jaknajwiększe echo zbudziły w całym kraju naszym. Pan Grabiński mówił między innemi o krzywdzie, którą wyrządza Polakom pruski system szkolny.

„Powiadano, a pono jeszcze dzisiaj śmią to twierdzić, że my, lud polski, jesteśmy zupełnie kontenci z dzisiajszego postępowania rządu pruskiego z nami, tylko szlachta i księża czy też jacyś „agitatorzy“ nie kontenci są z troskliwej opieki pruskiej. No, to niech ci panowie wiedzą, co gospodarz polski myśli o postępowaniu Prusaków z nami, niech wiedzą przedewszystkiem, co myśli o dzisiajszym sposobie uczenia w tych tak zachwalanych szkołach pruskich.

Nas polskich włościan boli to bardzo a bardzo, że naukę naszego języka polskiego ze szkoły wyrzucono. Za moich czasów działo się inaczej w szkole, a działo się dobrze. Pierwsze lata uczono wyłącznie po polsku a dopiero, gdy się dziecko trochę poduczyło, uczono także po niemiecku. Takie nauczanie było dobre, bo oto każdy, jeżeli już nie był głąbem, nauczył się i po polsku i po niemiecku i wogóle mniej papug bez skrzydeł chodziło po świecie.

A dziś? „Ales dajcz.“ W szkole wszystko po niemiecku, dziecko z wykładu nic nie rozumie, nauczyciel męczy się i mozoli napróżno.

Dziecko ma szkodę, nauczyciel ma szkodę, szkodę mają rodzice i duszpasterze. Nauczyciel ma szkodę, bo się męczy i mozoli, a gdy się dość nazłości, wtedy dzieci katuje. Mimo to nie przynosi jego nauka żadnych skutków. Nauczyciel mówi z dziećmi jak kura z kaczkami! Tak jak kaczęta, wysiedzone przez kurę, nie rozumieją później jej gdakania, tak dziecko polskie nie rozumie niemieckiej mowy nauczyciela. O ile łatwiejsze miałby on zadanie, gdyby mógł dzieciom wykładać naukę w ich języku ojczystym! Tak jak jest obecnie, dziecko uczy się, czyta, śpiewa, ale nic z tego wszystkiego nie rozumie. Dość powiedzieć, że dziś dzieci nasze wchodzą do szkoły cielętami a wychodzą z niej wołami.“

W ten sposób mniejwięcej prawił nasz dzielny włościanin! Oby jemu podobni byli wszyscy włościanie nasi! Widzimy w tej mowie dowód, że świadomość naszego położenia przenika coraz bardziej pomiędzy lud polski i oto z czołem otwartem stanąć możemy wobec źle poinformowanych ministrów królewskich i powiedzieć im: Hola, panowie! myślicie, że to tylko agitatorzy, że to tylko jedna wreszcie warstwa ludności skarży się na położenie Polaków pod Prusakiem? Wy się mylicie — was ogarnęła chyba jakaś ciemność, która Wam nie dozwala dostrzedz, że dziś chłop polski, i rzemieślnik polski, i włościanin polski, i kupiec polski niemniej niż szlachcic odczuwa wszystko, co się z Polakami dzieje i nie gorzej niż ci „agitatorzy“ pojmuje swe położenie. Ale nie tylko swe położenie! Pojmuje też i swe obowiązki, pojmuje, że na jego barkach spoczywa cały ciężar obrony praw narodowych, pojmuje, jakiej ziemi jest synem i w jakiego społeczeństwa obronie stawać powinien! A gdy to wszystko pojmuje i tak pojmuje, to czy nie bezcelową jest ta praca nad zgermanizowaniem nas? Czy nie bezcelowem jest parcie na szkołę, na książkę polską i gazetę polską? Ten lud nasz już za głęboko w sercu nosi przywiązanie do ojczyzny — ojczyzny polskiej, a nie pruskiej — aby mogły tu co pomódz rozkazy, zakazy i nakazy. O ten pancerz miłości ojczyzny i poczucia obywatelskich obowiązków rozbiją się wszelkie usiłowania germanizatorów — — próżny ich trud, marna ich praca: a zasłużą sobie tylko na niesławę wobec historyi, bo odkąd włościanin polski stoi na straży sprawy narodowej, odtąd nasza sprawa idzie w górę, choćby miała dziesięć i sto razy więcej przeszkód do zwalczenia — wszystkie zwalczy! *K. Os.*



Z ojczystych stron.

XXXVI.

Trzciel.

„Idź duchu do ojców ziemi...“

Trzciel, dawniej Trzjel, Trciel, Trziel lub Trzel — małe miasteczko nad Obrą, zostało założonem około r. 1252. W dokumentach niektórych z r. 1319 znajdujemy dziwną jego nazwę Torstetel, w roku zaś 1458 równie dziwną Trzczel. Zkąd właściwa nazwa miasta powstała, tego nikt wytłomaczyć nie umie.

Już w początkach XIII wieku toczyły się zacięte walki pomiędzy Władysławem Laskonogim a siostrzeńcem jego, Władysławem Odoniczem o posiadanie Wielkopolski, które skończyły się tem, że Odonicz po śmierci wuja stał się panem całego państwa. Ale panowanie jego nie trwało długo, naród bowiem, niezadowolony z jego rządów, powołał na tron księcia śląskiego, Henryka Brodatego, który musiał nowe rozpocząć walki z Odoniczem. I znów przelewała się strumieniem krew polska, dopiero w r. 1233 zawarto pokój. Henryk objął teraz rządy, a po nim syn jego, Henryk Pobożny. Po śmierci jego zapanowały nowe niesnaski pomiędzy licznymi książętami, ubiegającymi się o tron polski i wszystko nareszcie zakończyło się w ten sposób, że syn Leszka Białego, Bolesław Wstydliwy, został wybranym w r. 1241 królem polskim, a kilka miast Wielkopolski, pomiędzy temi Trzciel, oddano w r. 1247 księciu śląskiemu.

Teraz przezwano Trzciel Torotetelem. Na początku XIV wieku wróciło miasto pod panowanie polskie i dosyć często zmieniało właścicieli. W r. 1458 musiało dostawić w razie wojny dwóch uzbrojonych żołnierzy, co podobno, jak piszą stare kroniki, wielkim dla miasta było ciężarem. Właścicielami Trzciela byli teraz Opalińscy, później Unruhowie, Mielżyńscy i w końcu książęta Reuss. Miasteczko dzieliło się na dwie części — na lewej stronie rzeki mieszkali Niemcy i lutrzy, sprowadzeni tu przez Unruha, na prawej zaś Polacy i katolicy. Obydwa miasta miały osobną władzę i osobny zarząd, w Staremmieście (polskiem) odprawiano 5 jarmarków rocznie, w Nowem 4. W r. 1656 spustoszyli obydwa miasta Szwedzi, a szańce szwedzkie znajdują się do dziś jeszcze w blizkości żydowskiego cmentarza. Góra kozacka świadczy także o wojowniczej przeszłości Trzciela.

Gdy W. Ks. Poznańskie przeszło pod panowanie pruskie, liczył Trzciel 1871 mieszkańców i 262 domów, jeden kościół katolicki, jeden ewangielicki i synagogę. Żydów było 253, dziś jest ich ledwie 60. Apteka znajdowała się także w mieście. Kupców było 11, tkaczy 74, sukienników 58, szewców 22, kominiarzy 16, gorzelanych 33, piwowarów 2, kupców wina 2, oprócz tego kilku rzeźników, piekarzy, stolarzy, cieśli, kowali, złotników i t. d. Z wszystkich rzemiosł kwitnęło najwięcej sukiennictwo, wyrabiano tam co rok mniej więcej za 30 tys. tal. towaru i odstawiano go do Międzyrzecza.

Na początku naszego stulecia uprawiano tam także tabakę, ale znawcy twierdzili, że tabaka trzcielska jest wprost niemożliwą. W r. 1888, gdy obydwie połowy miasta zostały połączone, liczono mieszkańców 2467. W pobliżu miasta znajduje się huta szklana.

W r. 1806 stało kwaterą w Trzcielu 11,000 Francuzów, nikomu jednak żadnej nie wyrządzono krzywdy. Ludzie dziwili się tylko, że Francuzi w pierwszą niedzielę adwentu nie poszli do kościoła.

Pierwszy kościół katolicki został wybudowanym w Starem Mieście w r. 1614. Spalony w r. 1692 został na nowo odbudowanym, ale w r. 1809 spalił się znowu wraz z całem prawie Starem Miastem. Aż do r. 1824 odbywało się nabożeństwo w małej kapliczce, potem dopiero wystawił patron miasta, książę Reuss, nową murowaną świątynię własnym kosztem. W trzech ołtarzach znajdują się relikwie świętych, nie można jednak było wypośrodkować, jakich świętych lub męczenników. Może być, że są to relikwie św. Walentego i Wojciecha, są to bowiem dni odpustów. Szkoła katolicka nowszej jest daty.

W Trzcielu mieszkała też długi czas jedna z poetek niemieckich, pani Karsch, o której wspominamy tu dla tego tylko, aby wykazać, że prawdziwy talent zawsze znajduje sposobność rozwinięcia się. Otóż poetka ta urodziła się blizko miasta na jakiejś wsi, jako córka karczmarza (r. 1722). Gdy dorosła, była najpierw służącą, potem pasła bydło, później wyszła za sukiennika, a owdowiawszy, za krawca pijaka, który ją codziennie bił. Po śmierci drugiego męża zajął się nią baron Kotwitz, który przypadkiem dowiedział się o jej talencie wierszowania i nie trwało długo, a owa poniewierana przez męża krawcowa szczyciła się przyjaźnią najznakomitszych ludzi owego czasu, Lessinga, Gleima, Mendelsohna i wielu innych. Córka jej wyszła za barona Klencke, a wnuczka, także poetka, za pana de Checy. W Trzcielu nic nie przypomina tej sławnej kobiety.

Przemysł i handel nie bardzo się w Trzcielu rozwijają, ponieważ miasto zbyt jest oddalonem od kolei. Cicho tu i spokojnie w tej odległej miejscowości, raz tylko do roku panuje większe życie, t. j. gdy się odbywa jarmark na chmiel. Potem wraca wszystko znowu do dawnego trybu.

Kronikarz „Pracy“.



To i owo.

Donoszą z Cieszyna, że księgarz tamtejszy, p. Feitzinger, urządzając nową wystawę swej księgarni, umieścił nad nią tylko napis niemiecki, a gdy polskie gazety, wydawane na Śląsku, zażądały, aby dołączył także napis polski, p. Feitzinger przyrzekł to uczynić, lecz obietnicy niedotrzymał, licząc na stare „larifari“ słowiańskie. Tym razem jednak omylił się księgarz niemiecki. Gazety polskie bez wyjątku wezwały Szlazaków, ażeby u Feitzingera nic nie kupowali, same zaś od niego nie przyjmują anonsów. „Nowiny Raciborskie“ dały zaciekłemu Niemcowi odpowiedź następującą:

„Panu Feitzingerowi w Cieszynie. Anonsu nie umieścimy, ani teraz, ani później. Kto tak, jak pan postępuje sobie wobec ludu polskiego, na którym się zbogacił, ten chyba nie może się spodziewać, aby go gazeta polska jeszcze popierała. Sądzimy, że taką samą odpowiedź dadzą panu „Gazeta Opolska“ i „Katolik.“

Czy energiczna odpowiedź „Nowin

Raciborskich" zmiękczyła upór p. Feitzingera, o tem jeszcze nie piszą gazety szlązkie. Ale gdyby na Szląźku zawsze i wszędzie w ten sposób dopominano się o prawa słowiańskie, to Hakata tamtejsza oduczyłaby się wkrótce szowinizmu swego. Ma ona bowiem jedną czułą stronę: Kieszeń!

* * *

Pisma wiedeńskie donoszą skwapliwie o każdym tryumfie bandyty parlamentarnego Wolffa, ale gdy temu „wilkowi" sprawią gdziekolwiek łaźnią gorącą, wtedy naturalnie w różnych „Pressach" panuje milczenie grobowe. To też jakoś przez gardło przejść nie chce piśmidłom szowinizmu niemieckiego, że w Moguncyi Wolff został wygwizdany aż miło. „Mainzer Journal" podaje w tej sprawie szczegóły następujące:

Było to zgromadzenie urządzone przez „Związek wszechniemiecki." Poseł Wolff wszedł na estradę i dał przedewszystkiem wyraz wielkiej radości, iż mu wolno przemawiać nad niemieckim Renem. To też zapowiedział, iż wyłoży obecnym wszystko, co ma na sercu. Rozpoczął, rozumie się, od skargi na słowiańską, czeską i klerykalną prasę, która — jak już z góry wie — krzyczeć będzie gwałtu, gdy przemówienie jego ukaże się w druku. Porównywał to w następujący sposób z Pismem św.: „Kiedy żył na świecie Zbawiciel, przyszli do Niego faryzeusze i pytali Go, czy wolno jest cesarzowi w Rzymie płacić dziesięciny. Jezus, który patrzał w serca faryzeuszów, odpowiedział: Oddajcie Bogu co jest boskie, a cesarzowi, co jest cesarskie. Także i u nas są czarni faryzeusze..."

W tej chwili podniosło zgromadzenie okropny rwetes, z wszystkich stron słyszeć się dały świsty, z góry odezwało się chóralne „pfuj" i Wolff absolutnie nie mógł przyjść więcej do głosu. Z galeryi padały wyrazy: łajdak, ulicznik, zdrajca ojczyzny i t. d. Przewodniczący udał się do Wolffa i szeptem dłuższy czas z nim rozmawiał, poczem z trudnością opróżniono galerye i Wolff przemawiał dalej, dając już za wygranę porównaniem biblijnym. W. B.



KRONIKA.

Wyszedłszy na przechadzkę, spotkałem mego kolegę po piórze, idącego z miną zafrasowaną. — Cóż ci to kolego?" — pytam z współczuciem. — „Widzisz — odpowiada tenże — tyle rzeczy nasłuchać się można w tej naszej mieścinie, a nie wiem co wybrać do mojej kroniki, — ażeby nie zasłużyć na nazwę plotkarza lub szkalownika." — „Na Boga — zawołałem oburzony — nie nazywaj stolicy naszej mieściną; toż to duży Poznań, od Jerzyc aż do Główny, od Wildy aż do Górczyna." — „Chociażby i przekroczył o milę rejon forteczny, przy dzisiejszych stosunkach, jeżeli się nie zmienią, zostanie zawsze mieściną, w której nie można będzie oddychać szeroko." — „Nie rozumiem cię — odparłem, ciekawy argumentów, na podobne dość śmiałe twierdzenie." — „Posłuchaj więc — mówił zapalając się — daj nam kilkomilową przestrzeń, a zawsze potniemy ją na małe kwadraciki, po prostu mówiąc komórki, w których zasklepiają się rozmaite kasty naszego społeczeństwa. Przemysłowcy posiadają aż trzy takie celki. pierwszej, drugiej i trzeciej klasy, tak samo doktorzy, prawnicy i t. d. Jeżeli komu przypadkiem za ciasno w takiej komórce, jeżeli zapragnie szerszych horyzontów i zajrzy ciekawie do celki sąsiedniej, wtenczas może być pewnym, że przytną mu nosa, a nie wyciągną bratniej, szczerej dłoni na powitanie gościa. Ztąd widzisz pochodzą swary, kwasy, po każdej zabawie, co zatruwają poznańskie towarzyskie stosunki. To jest dowodem, że mamy za mało przestronne głowy i serca.

Przygnębiony odszedłem od mego towarzysza, nie lubię bowiem kwestyi, zniechęcających mnie do ludzi. Ażeby odpędzić smutne myśli, wstąpiłem do kasy teatralnej i kupiłem bilet na wieczór Chopinowski. Program bardzo obiecujący, pomimo tego jednak szedłem do teatru, jak to się chodzi na przedstawienie amatorskie, z wielkim zasobem cierpliwości, a z małą dozą wymagań. Wysłuchałem z poważnym nastrojem, stosownym do uroczystości Preludyum Chopina, następnie poprawnej gry fortepianowej p. Krysiakowej i kiedy coraz więcej począłem się zagłębiać w powadze, uczułem nagle lekkie wstrząśnienie, jak gdyby iskra elektryczna przebiegła po moich nerwach.

Zbudziłem się i porwany Nokturnem Sarasatiego, zapomniałem o jakimśkolwiek uroczystym nastroju, słuchałem go sercem, rozpływając się w dźwiękach, tak jak się rozpływamy w czuciu w piękną miesięczną noc czerwcową. Legenda Wieniawskiego śpiewała mi swojsko i tęskno, wywołując przed moje oczy zamierzchłe mary przeszłości. Opuszczając teatr, wdzięczny byłem artyście-amatorowi dr. Jarnatowskiemu za tę chwilę duchowej rozkoszy.

Następnego dnia z uznaniem dla Czytelni dla kobiet pospieszyłem na odczyt profesora Piekosinskiego z Krakowa. — Szanowny Prelegent jest jednym z tych typów, których coraz mniej na świecie, a który od razu podbija serce. Spojrzawszy na jego twarz otwartą, szczery uśmiech i dziwnie pogodne oczy, jaśniej się robi w duszy i ręka pomimowolnie wyciąga się do uścisku. W zajmującym a treściwym odczycie mówił szanowny prelegent o pierwotnym siedlisku Wendów czyli Słowian, o wędrówce ich do Europy i o stopniu ówczesnej ich kultury. Odczyt odbył się w kółku członków i w lokalu Czytelni dla kobiet. Kronikę moją tygodniową zamykam obawą, ażeby wyśrubowana, na nasze stosunki, cena biletów na koncert Mascagnego, nie sprowadziła kilkodniowych pustek w teatrze polskim. S.





Z teatru.

12-go listopada 99.

W czwartek dnia 9 listopada złożył Poznań winny hołd jednemu z geniuszów polskich, uczcił pamięć Fryderyka Chopina. Nie pierwszy to w tym sezonie wieczór, który Dyrekcya teatru pamięci jego poświęciła; mówiliśmy niedawno o sztuce „Fryderyk Chopin", granej w rocznicę jego śmierci i ubolewaliśmy wówczas nad tem, że Poznańczycy nie poczuli się do obowiązku obecnością swą w teatrze okazać cześć i wdzięczność dla geniuszu narodowego. Tem milej zaznaczyć nam dzisiaj, że w ten wieczór czwartkowy miasto i prowincya zapełniły teatr i licznie wzięły udział w uroczystości zgotowanej ku uczczeniu Chopina przez Dyrekcyą teatru naszego.

Wieczór rozpoczął się przedstawieniem jednoaktówki Gawalewicza p. t. „Preludyum Chopina". Rzecz ta przecudnej, koronkowej roboty, stwierdza jakoby, że Chopin stał się do dzisiaj własnością nie jednego domu polskiego, że melodye jego nie tylko po szerokim rozbrzmiewają świecie, ale tulą się w nasze domowe zacisze, a przytem wyraża myśl o potędze i wpływie melodyi raz zasłyszanej. Kobieta uwodzicielka gra mężczyźnie, którego chce usidlić, przypadkowo tę właśnie melodyę, (Preludyum Chopina), którą żona jego o zmroku wieczornym, w chwilach wzajemnych wynurzeń grywać mu zwykła. Są melodye mieszczące w sobie niewinny uśmiech dziecka, inne w łzę bywają czasem oprawne. Preludyum Chopina było dla owego męża w tej chwili żywym wyrzutem i głosem sumienia na drogę obowiązku wołającym i stanęło na straży jego domowego ogniska. Artyści — pp. Jakubowska i Słubicka, pp. Adwentowicz i Wysocki — grali delikatny ten dramacik, pominąwszy drobne usterki, z należytą dystynkcyą, wdziękiem i szczerością.

Nastąpiła część druga uroczystego wieczoru, składająca się z produkcyi deklamacyjnych i muzykalnych; rozpoczął je p. Bednarczyk, wygłosiwszy z precyzyą wiersz A. Ostrowskiego poświęcony „Fryderykowi Chopinowi", poczem raczyli nas na przemiany pani W. Krysiakowa, grą na fortepianie, a grą na skrzypcach pan dr. med. K. Jarnatowski, któremu akompaniowała z prawdziwym artyzmem znana i zasłużona w mieście naszem pianistka, panna M. Sokołowska. Nie jestem niestety muzykiem ani dosyć muzykalnym, abym mógł ze stanowiska fachowego oceniać grę tych dwojga naszych amatorów; nie będę się przeto starał udowodnić, że pani Krysiakowa jest istotnie „jedną z najlepszych w Wielkopolsce interpretatorek Chopina", ani, że dr. Jarnatowski „mógłby nawet wśród zawodowych skrzypków zająć pierwszorzędne stanowisko"; ja mogę tylko najskromniej mówić o subjektywnem wrażeniu, jakie ich muzyka na mnie robiła i powiedzieć, że czasami zdawało mi się, jakoby dr. Jarnatowski nie na skrzypcach swych, ale na strunach duszy mej grał.

Dodajmy do tych produkcyi dwie deklamacye: pan Wysocki wygłosił bardzo udatnie wiersz. „Grajek" mający

za treść zwierzenia grajka wioskowego, który ufa, że na skrzypcach swych lipowych wygra swoją dolę i niedolę swoją i narodu, tak, że ludzi na ziemi i „Pana Jezusa“ w niebie wzruszy. Na koniec deklamował dyr. Ryger słowa Ujejskiego do sonaty Chopina op. 35 „Marsz żałobny“; włożył on wszystko w swoją deklamacyą i boleść bezprzytomną i żal bezbrzeżny i rozpacz hardą i łzawe łkanie serca złamanego.

Wdzięczność należy się i Dyrekcyi i artystom teatru i amatorom za urządzenie tego wieczoru; niech im nagrodą będzie głównie ta świadomość, że w wieczór ten istotnie się zasłużyli, bo w lepsze światy wiedli rzeszę liczną, piękna i prawdy dając jej pragnienie.

W imię Chopina zgromadzeni rozeszliśmy się w podniosłym ducha nastroju, roznosząc owo prawdy i piękna pragnienie po domach swoich.

Po poważnym wieczorze czwartkowym nastąpiła w sobotę arcy wesoła komedya francuzka, napisana przez pp. Valabregue i Hennequin p. t. „Miejsca kobietom!“ Treści jej nie można szczegółowo opowiadać tak, aby uwydatnić jej komizm, bo nie leży on we fabule samej, ale w śmiesznych sytuacyach, z których w komedyi tej jedna goni drugą. Komizm ten dosięga szczytu swego w scenie rozgrywającej się w sądzie przy procesie rozwodowym, przy którym raz pierwszy występuje publicznie kobieta-adwokat. Chęć ośmieszenia ruchu emancypacyjnego kobiet, a właściwiej jego wybryków, wywołała, jak wiadomo, nie jeden już utwór w literaturze, szczególnie dramatycznej; u nas uczynił to przedewszystkiem Bałucki w komedyach takich, jak „Sprawa kobiet“ lub „Niewolnice z Pipidówki“. Postawmy obok siebie francuzką komedyą „Miejsca kobietom“ i Bałuckiego „Sprawę“ lub „Niewolnice“ i porównajmy je ze sobą, a przyznać musimy, że komedyopisarze francuscy górują nad Bałuckim dwuznacznikami, sarkazmem i dowcipami salwy śmiechu wywołującemi, lecz za to Bałucki ma dowcip pogodniejszy — czystszy, nie taki ostry i łączy z nim zawsze jakąś tendencyą uszlachetniającą; jego komedye umoralniają, pobudzają do myślenia, nie tylko do pustego śmiechu — czyż dla tego na komedyach jego tak pusto w poznańskim teatrze, a tak pełno bywa na francuskich farsach?

Artyści grający owa sobotnią komedyę wywiązali się znakomicie ze swoich zadań; komedya ta, by mogła wywołać dostateczny efekt, musi być graną w bardzo szybkiem tempie; artyści zdołali w niem ciągle pozostać, nie było nigdzie zacinań, ni przerw nieprzyjemnych; przytem każda z poszczególnych postaci była dobrze ucharakteryzowanym typem. Podnieść trzeba przedewszystkiem grę pani Królikowskiej, owej heród — baby, pierwszego adwokata przemawiającego publicznie, panny Święckiej, kobiety — lekarza i panny Połęckiej, która z wielkim wdziękiem odtworzyła odmienny typ kobiecy, typ czułej i pieszczotliwej żonki; pani Jakubowska była tak dobrą, jaką zwykła być w rolach młodych nieco kłótliwych, nieco zazdrosnych mężatek; role takie należą do najlepszych z jej repertoaru.

Panowie Berski, Kosiński, Kupiecki, Jakubowski umieli dobrze wyzyskać swoje role; oklaski, któremi ich publiczność darzyła, były zasłużonemi.

Dr. Este.



Na stepach Ukrainy.

Fale Dniepru szumiały złowrogo, a odgłos ten dochodził do pokoju pana J., który przed dwoma miesiącami przybył z Galicyi, jako nowy dzierżawca majątku K. Nagle zapukano do drzwi i na progu stanął wysoki, barczysty mężczyzna.

— Ja wor! — (Jestem złodziejem,) rzekł, zbliżając się do pana J.

Młodzieniec wyciągnął mimowoli rękę i ujął nabity rewolwer, leżący na stole.

— Ubeczpakoj tis — (nie bój się) szepnął złodziej, — nic panu nie zrobię, ale jeżeli nie chcesz, aby w twojej wsi nie skradziono czego, aby ogień wybuchnął, aby się jakie nieszczęście nie stało, to płać mi za każdą sztukę bydła, jaką posiadasz co pół roku jednego guldena.

Ta niesłychana bezczelność oburzyła pana J. do tego stopnia, że zadzwonił na służącego i kazał mu natrętnika wyrzucić. Ale tej samej nocy skradziono z mocno zamkniętej stajni najlepszego wierzchowca pana J.; stróż nocny przysięgał, że nie spał ani chwili, i że zagar kontrolowy, który co pół godziny naciągał, jest najlepszym dowodem jego czujności. Wszelkie poszukiwania żadnego nie odniosły skutku, kozacy wrócili z pomęczonemi końmi, a złodzieje znikli na stepie, jak kropla w morzu.

Pan J. zmartwił się bardzo, wierzchowiec ten był pięknym i drogim, a nadto podarunkiem ojca. Wiedział on, że konie, skradzione na Ukrainie, stoją najpierw pewien czas w podziemnych stajniach, potem prowadzą je złodzieje na jarmarki do odległych miast i tam je sprzedają, za bardzo niską cenę. Najczęściej przestrzegają też kupującego uczciwi złodzieje, aby się z nowo nabytym koniem nie pokazywał we wsi A. lub Z. W takim razie nie pozostaje kupującemu nic innego, jak, albo oddać konia właścicielowi, co wielkie sprawia trudności, bo sam mieszka w odległości 80—100 wiorst, albo zatrzymać go na własność, i unikać okolicy A. lub Z.

Pan J. wybrał się więc w podróż, celem odszukania swego wierzchowca, tem więcej, że chciał uzupełnić oborę i stajnię i odwiedzić kilka jarmarków.

Ale nie znalazł jednak swojego konia, dowiedział się tylko z niezmiernem zdziwieniem, że wszyscy jego sąsiedzi, oraz zamożniejsi wieśniacy płacili złodziejom podatek; powiedziano mu też, że ci, którzy się na to zgodzić ni chcieli, potracili całe żniwa wskutek ogromnych pożarów, i nadto pokradziono im bydło, lub też zaszczepiano koniom zołzy i inne zabijające choroby.

— Nec Hercules contra plures, — pomyślał pan Jan głęboko zmartwiony.

Kilka dni po powrocie do domu przyszedł znowu do niego ów złodziej. Pan J. przyjął go tym razem bardzo uprzejmie i zabrał się natychmiast do zliczenia inwentarza, aby zapłacić podatek.

— Nie fatyguj się pan, — rzekł gość, ja to już wszystko spisałem. Razem z skradzionym wierzchowcem masz 142 sztuk bydła, licząc już w to źrebięta, cielęta i trzodę, a zatem należy mi się 21 rubli i 30 kopiejek. Tutaj jest pokwitowanie, proszę o pieniądze.

Śmiałość złodzieja była zdumiewającą, ale pan J. wypłacił pieniądze i zapytał o skradzionego wierzchowca.

— Przyjechałem na nim, — odrzekł złodziej — stoi tam uwiązany do płota.

Pan J. wybiegł szybko i poznał rzeczywiście swego konia, noszącego ślady dalekiej męczącej podróży.

Mniej więcej dwa miesiące później spalił się p. J. stóg siana. Ogień powstał ztąd, że chłopcy wiejscy palili wieczorem cygara i rzucili zapałkę na siano. Pomimo, że parobcy i cała czeladź rzuciła się na ratunek, spłonął stóg do szczętu, a ponieważ nie był zabezpieczonym, przeto poniósł dzierżawca znaczną stratę. Ale na to nie było rady.

Gdy nadszedł termin półrocznej zapłaty, zjawił się złodziej punktualnie. Ale któż opisze zdumienie pana J., gdy gość, wyjmując notes rzekł do niego:

— Dwudziestego czerwca spalił się panu stóg, na 10 sążni długi a 6 wysoki. Podług gazet petersburskich kosztował wówczas (1 pud = 18 kg. siana 18 kopiejek, miałeś pan straty 129 rubli, 60 kopiejek. Do zapłacenia masz mi pan teraz za 151 sztuk bydła 22 rubli, 65 kopiejek, a zatem otrzymasz pan 100 rubli 95 kopiejek — oto pieniądze i gazeta z 20-go czerwca. Nie gniewaj się pan, że się stóg spalił, ale w tym właśnie czasie byłem w tjurmie (w więzieniu), moi ludzie zaś nie uważali dosyć, teraz jednak będzie inaczej. I proszę, powiedz pan panu S. aby mnie nie kazał za każdym razem aresztować, gdy do niego przychodzę. To mu nic nie pomoże, ja i tak wydostanę się z tjurmy, więc niech mi płaci! Jeżeli nie, to w tym roku znowu mu się stodoły spalą — wczoraj musiał dać zastrzelić 28 fornalskich koni dla zołzy. Powinien raz przecież nabrać rozumu!

Od tego czasu nie płacił pan J. ani grosza na zabezpieczenie od ognia i skasował nawet stróża nocnego. *G.*



Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego

M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY.

Po powrocie młodej pary, poruszono najpierw kwestyą mieszkania. Ponieważ Richarder nie sprzedał swej willi w Paryżu, ani też jej nikomu nie wynajął — przeto na życzenie Alicyi, postanowił Henryk przenieść się do stolicy. Stryj Fritz miał dalej mieszkać w zamku.

— Ale ty, — rzekła Alicya do Heleny, — ty pojedziesz z nami. Jesteś teraz moją siostrą i należysz do nas!

Gordon bywał teraz bardzo rzadko w zamku. Nie mógł darować Henrykowi jego małżeństwa, i unikał go starannie, ograniczając się na krótkich odwie-

dzinach w Preuse, Karol natomiast codziennym tam prawie był gościem. Helena cierpiała okropnie. Oczekiwała zawsze z gorączkowym niepokojem przybycia ukochanego, a drżała ze strachu na myśl, aby on uczuć jej nie odgadł — miłość ta była dla niej owocem zakazanym, szczęściu jej bowiem stał na przeszkodzie Alfred, którego teraz nienawidziła i którego lękała się więcej, niż śmierci.

Leon tymczasem składał jawnie hołdy pięknej dziewczynie, i nie zważając na jej obojętność, czekał tylko stósownej chwili, aby jej wyznać swoją miłość. Helena wiedziała o tem, ale pomimo groźby kuzyna, nie zachęcała go ani jednem słowem, ani spojrzeniem — serce jej zanadto było zajęte Karolem.

Gdy chodziło o to, że zimę ma przepędzić w Paryżu, byłaby się najchętniej oparła życzeniu Alicyi. Tak jak dawniej pragnęła błyszczeć na salonach stolicy, tak teraz rozpaczała na myśl opuszczenia swego skromnego mieszkania w Beuron. Tutaj mogła bowiem widywać Karola — w Paryżu zaś kończył się jej krótki sen szczęścia na zawsze. Alfred zdawał się także być niezadowolonym z tego planu. Całemi godzinami siedział zadumany i milczący, jak gdyby nowe jakieś układał plany, a pomimo, że znał uczucia Heleny, nie troszczył się o nie, będąc przekonanym, że bądź co bądź zmusi ją do wykonania swych rozkazów.

— Nie zapominaj, — rzekł raz do niej, — że musisz wyjść za Leona. Ale ponieważ kochasz Karola, przeto postaram się o to, abyś została tutaj. Możesz go widywać codziennie. Do Paryża więc nie pojedziesz i.....

— Jakto? Przecież to rzecz już ułożona.

— Henryk też nie wyjedzie ztąd!

— Zkąd wiesz o tem?

— Nie wiem, ale przypuszczam, — odrzekł z uśmiechem.

— Powiedz mi prawdę, Alfredzie! — zawołała zaniepokojona jego zagadkowemi słowami.

— Ani myślę!

— Nie waż się intrygować przeciw memu bratu, — krzyknęła w uniesieniu. — Dopóki chodziło o pieniądze, nie sprzeciwiałam się twoim zamiarom, ale zakazuję ci — słyszysz — zakazuję ci....

— Henryk nie potrzebuje się niczego obawiać, — przerwał szyderczo, — powtarzam tylko raz jeszcze, że nikt do Paryża nie pojedzie. Zamiast więc gniewać się na mnie, powinnaś się cieszyć z tego.

Henryk zajmował się nieustannie odnawianiem willi i przygotowaniami mieszkania na pobyt zimowy. Tydzień mijał za tygodniem, lato zbliżało się ku końcowi, i żadna chmurka nie zacieniała szczęścia młodych małżonków. Helena sądziła już, że Alfred chciał ją tylko przestraszyć, gdy mówił, że do Paryża nikt nie pojedzie, i zaczęła teraz swobodniej oddychać.

Pewnego dnia, gdy wyszła do ogrodu, aby zerwać ostatnie latowe kwiaty, ujrzała Leona, zbliżającego się szybko ku niej. Serce jej przestało niemal bić z przerażenia, wiedziała bowiem, że następna chwila rozstrzygnie całą jej przyszłość.

— Pomóż mi pan ułożyć bukiet, — rzekła na pozór obojętnie. — Ile tu jeszcze kwiatów!

— Tak, — odparł Leon, — ale ja nie po to przyszedłem tutaj, aby kwiaty podziwiać.

— Więc po co?

— Ach, panno Heleno, — szepnął, biorąc jej rękę, — pozwól mi powiedzieć to, o czem już oddawna wiesz zapewne. Kocham panią i proszę, błagam cię — zostań moją żoną!

— Ależ.....

— Nie mów mi na Boga, że mnie nie kochasz! Jeżeli nie pozyskałem jeszcze twego serca, — dodał namiętnie, — to pozwól mi starać się o twoją miłość, ale nie odbieraj mi przynajmniej nadziei!

— Nie — tylko — że ja — nie jestem stosowną żoną — dla pana!

— Czemu?

— Bo jestem biedną — dumną — o Boże! bo..... bo.....

— Ach, bo kochasz innego!

— Nie, nie — szeptała, tracąc przytomność, — nie kocham nikogo.....

— Kochasz Karola! — jęknął Leon. — Domyślałem się tego!

— Co pana upoważnia do podobnego przypuszczenia, — rzekła już nieco spokojniej. Przed oczami jej duszy stanął Alfred, i teraz przeraziła ją własna nieostrożność.

— Więc serce pani jest wolnem?

Helena spuściła głowę i milczała.

— Nie chcesz mi odpowiedzieć, — zawołał z rozpaczą, — nie chcesz mi wyznać prawdy. Ale ja wiem, że kochasz go! Pójdę do niego i zapytam go o to.

I po chwili była samą. Przygnębiona, ze łzami w oczach, rzuciła się na ławkę, myśląc o tem, co teraz nastąpi. Oparła się rozkazom Alfreda, naraziła się na jego zemstę, a była pewną, że on jej oszczędzać nie będzie.

— Jak się to wszystko skończy, mój Boże! — szepnęła, i gorące łzy spłynęły po jej bladej twarzy.

— No i cóż kuzynko! — dał się nagle słyszeć głos Alfreda.

Helena podniosła głowę i cofnęła się z wyrazem wstrętu i pogardy.

— Ej, zawsze uprzejma, — rozśmiał się nędznik. — Więc Leon oświadczył ci się?

— Tak!

— Opowiedz mi wszystko dokładnie, bo mnie to bardzo zajmuje!

Musiała mu być posłuszną — będąc przekonaną, że i tak już podsłuchał całą ich rozmowę.

— Bardzo dobrze, — rzekł, gdy skończyła, — nie przyjęłaś go, ale nie odmówiłaś też stanowczo. Jesteś zręczniejszą, niż myślałem. Ponieważ nie masz majątku, przeto trzeba się zawsze trochę drożyć, aby nie wyglądało na to, że pragniesz tak gorąco bogatego męża. Bądź więc obojętną — jeszcze tylko kilka tygodni, to spotęguje miłość jego, a że ty go nie kochasz, więc ci to żadnej nie sprawi trudności. Rozumiesz?

— Tak!

— Nie odbieraj mu jednak wszelkiej nadzieji. Zanim zima nadejdzie, zamienisz twoje hrabiowskie nazwisko na trochę skromniejsze, ale będziesz miała pięć milionów! Niezła zamiana!

— — — — — — — — — — — —

Pół godziny później, gdy Helena układała kwiaty w salonie, przyszedł Karol. Reszta towarzystwa była w ogrodzie. Młoda dziewczyna, spokojna, pewna siebie, przywitała chłodno tego, do którego rwało się jej serce, i rozpoczęła zupełnie obojętną z nim rozmowę. Karol jednak dziwnie był dziś zmieszany.

— Może przejdziemy do ogrodu, — rzekła po chwili wstając, i zbliżając się ku drzwiom.

— Nie, — zawołał prędko, — nie mam nigdy sposobności rozmawiania z panią bez świadków, muszę więc skorzystać z tego szczęśliwego przypadku! Panno Heleno, — dodał ciszej, — nie mogę dłużej ukrywać moich uczuć. Walczyłem z sobą, bo wiem, że nie zasługuję na twoją miłość, ale kocham cię! Kocham cię gorąco, i byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybyś.....

— Dosyć — przerwała drżącym głosem. — Zapomnij pan o mnie, ja żoną pana być nie mogę!

— Dla czego?

— Pogardzisz pan mną zapewne, ale nie mamy oboje majątku, a ja czuję nieprzezwyciężony wstręt do ubóstwa. Lepiej więc, że zapomnisz o mnie!

— O, nie kochasz mnie, inaczej nie mówiłabyś tego! — szepnął smutnie. — Jestem młody, silny i zdobędę sobie stanowisko i majątek, ale bądź moją! Dla ciebie będę walczył z światem całym i zwyciężę go. Wystąpię z wojska, uczynię wszystko, co chcesz, będę pracował i dam ci skarby, których żądasz. Nie odpychaj mnie tylko, bo ja bez ciebie żyć nie mogę.

Helena słuchała z rozkoszą słów jego. Zapomniała o Alfredzie, o groźbach jego, a uniesiona miłością, wyciągnęła mimowoli rękę, którą Karol ujął i gorąco ucałował.

— Kochasz mnie! kochasz mnie! — szepnął, upojony szczęściem.

Ale w tejże chwili dał się słyszeć cichy szelest w salonie — na progu stanął Alfred.

Helena cofnęła się żywo, a twarz jej zbladła śmiertelnie. Karol rozpromieniony, rzucił ostatnie jeszcze spojrzenie na ukochaną, i nie chcąc wobec Alfreda zdradzać swego szczęścia wybiegł szybko z pokoju.

— A więc i drugi wyznał ci swoją miłość — rozśmiał się Alfred. — Jakże sprawy nasze stoją właściwie?

Helena zakryła twarz rękami.

— Kocham go! kocham go! — jękła z rozpaczą.

— Głupstwo! Kochaj go jak chcesz, pomimo to zostaniesz żoną Leona, bo ja tak chcę!

(Ciąg dalszy nastąpi).



Piśmiennictwo.

O miłości Ojczyzny. Poznań. Nakładem biblioteki kórnickiej 1899. Cena 1 mk. Wiele się na świecie pisze i drukuje po to tylko, żeby pisać. Niejedna książka po to tylko na świat wyjdzie, żeby go nigdy nie widziała, a postoi na półkach księgarskich gdzieś w szarym kącie, aż jej na makulaturę nie wezmą. Tem milej spotkać się z książką, która być powinna, jak mówi krytyk jej, prof. Tarnowski nie tylko

w każdym domu polskim, ale w każdej głowie, sumieniu i sercu. Mamy na myśli książeczkę nie dużą, ale treści pełną, wyszła nakładem biblioteki kórnickiej, a omawiającą niewyczerpany nigdy temat miłości Ojczyzny. Autor nie rozbiera, nie analizuje tego uczucia, które powinno być każdemu Polakowi tak wrodzonem i wrosłem, że wszystkie jego uczynki, całe życie powinno z tego uczucia wypływać, lecz zastanawia się nad tem, jak żyć i co czynić należy, by życiem powszedniem dawać dowody miłości kraju. Na wielkie bohaterstwo, wielkie poświęcenie łatwiej się zdobyć raz kiedyś w życiu, ale codziennemi, drobnemi poświęceniami służyć sprawie ojczystej, to trudniej pono. Otóż w takich drobnych poświęceniach, jakie życie codzienne wymaga, widzi właśnie autor dzisiejszą istotną miłość Ojczyzny. Autor dzieli rzecz swą na trzy rozdziały. W pierwszym mówi o szanowaniu i utrzymaniu tego, co dobre, w drugim o poprawieniu w kraju tego, co szkodliwe, w trzecim o zdobywaniu dla kraju i przeprowadzeniu w nim tego, co pożądane. Na dziewięćdziesięciu stronkach rozsypał autor tyle zdrowych myśli, tyle mądrych uwag, że trudno, abyśmy je tu powtarzali. Możemy tylko zachęcić do poznajomienia się z tą książeczką.

KONKURS.

Zbliżają się jedne z najuroczystszych i najpiękniejszych świąt, t. j. święta Bożego Narodzenia czyli radosna „Gwiazdka.“ Święta te są jedynie prawdziwie rodzinne. Zblizka i zdaleka zdążają członkowie rodzin, aby je przy wspólnem przepędzić ognisku, aby zagrzać się przy niem i nabrać otuchy do dalszych walk i trudów. A kto z niezależnych powodów w dniach tych dłoni swej spoić nie może z dłonią mu bratnią, ten niechaj choć zdala łączy się ze swymi drogimi, śląc im opłatek gwiazdkowy. I my pragniemy ze Szanownymi Czytelnikami „Pracy“ połączyć się niejako w jednę rodzinę i zogniskować ich umysły naokoło siebie. W tym celu zapraszamy wszystkich Czytelników do szlachetnej szermierki, ogłaszając niniejszem

konkurs gwiazdkowy i noworoczny.

Na Konkurs ten należy jedynie przesyłać prace oryginalne, odnoszące się do uroczystych chwil Wilii i świąt Bożego Narodzenia lub też święta Nowego Roku.

Mogą to być bądź poezye, bądź nowele, bądź też stosowne artykuły.

Dla sześciu najlepszych prac wyznaczamy następujące nagrody:

pierwszą nagrodę 50 mk.,
drugą nagrodę 30 mk.,
2 następne nagrody po 20,
i wreszcie
dwie nagrody po 10 mk.,
razem więc

6 nagród.

Prace konkursowe nadesłać należy na ręce redakcyi naszej i to **najpóźniej do 5 grudnia r. b.**

Prace nadesłane po 5-tym grudnia tracą prawo do konkursu.

Oprócz nagrodzonych prac zamieszczone będą także prace nienagrodzone, a nadające się do druku.

W nadziei, że Szanowni Czytelnicy zaproszenie nasze przyjmą z zadowoleniem i że przyczynią się do najobfitszego plonu konkursowego — kończymy hasłem: „Do czynu!“ *Redakcya „Pracy“.*

Zaproszenie do przedpłaty.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiące listopad i grudzień.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

Każda poczta i każdy listowy na wsi jest zobowiązany do przyjęcia abonamentu na miesiące listopad i grudzień.

Już gwiazdkowy i noworoczny numer „Pracy“, pięknie illustrowane i nadzwyczaj obfite w doborową treść, przeniosą wartość abonamentu, a jeżeli się jeszcze doliczy przeznaczone dla Czytelników premie, natenczas każdy abonent otrzyma pismo nasze prawie darmo.

Wiadomości.

Ustawy „Towarzystwa wiecowego“, uchwalone d. 7 listopada r. 1899 na pierwszem walnem zgromadzeniu w Chełmnie.

§ 1. Celem „Towarzystwa wiecowego“ jest urządzanie wieców ludowych w różnych miejscowościach, aby szerzyć oświatę, trzeźwość i oszczędność na zasadach religijnych i konstytucyjnych. Może też towarzystwo używać innych środków, zmierzających do tegoż celu.

§ 2. Członkiem towarzystwa może być każdy, kto przez zarząd zostanie przyjęty i zapłaci przynajmniej 1 markę rocznie do kasy towarzystwa.

Kto popełnił czyn hańbiący, utracił tem samem prawo należenia do towarzystwa i zarząd wykreśla go z listy.

Kto działa na szkodę towarzystwa lub nie płaci składek przez czas dłuższy, zostanie na wniosek zarządu przez walne zgromadzenie większością $^2/_3$ głosów wykluczony.

Członek wykluczony lub występujący z towarzystwa traci temsamem wszelkie prawa do jego majątku.

§ 3. Zarząd towarzystwa składa się z 5 członków, wybranych przez walne zgromadzenie, oraz z powołanych przez zarząd reprezentantów pism polskich.

Zarząd wybiera ze swego grona prezesa, wiceprezesa, sekretarza, który zarazem pełni obowiązki bibliotekarza, jego zastępcę i skarbnika.

Na każdy powiat mianuje zarząd delegata, a delegaci dobierają sobie w porozumieniu z zarządem mężów zaufania po parafiach, celem popierania zadań towarzystwa.

§ 4. Zwyczajne walne zgromadzenia członków odbywają się, o ile można, co rok w innej miejscowości, oznaczonej przez zgromadzenie poprzednie. Nadzwyczajne zwołuje zarząd wedle potrzeby.

Walne zgromadzenia rozstrzygają absolutną większością głosów w najwyższej instancyi o wszelkich sprawach towarzystwa i wybierają pięciu do dziewięciu członków zarządu.

§ 5. Do zmiany ustaw po pierwszem walnem zgromadzeniu potrzebna będzie zgoda $^3/_4$ uczestników walnego zgromadzenia i $^3/_4$ członków zarządu, a do rozwiązania towarzystwa i do zmiany niniejszego paragrafu piśmienne przyzwolenie $^3/_4$ wszystkich członków.

Majątek towarzystwa przechodzi, w razie rozwiązania, na własność Towarzystwa pomocy naukowej w Chełmnie, o ile osoby, które w chwili rozwiązania wchodziły w skład zarządu, nie rozporządzą inaczej.

Z teatru. Staranna i zabiegliwa Dyrekcya teatru naszego wystawi w przyszłym miesiącu najnowszy głośny dramat, a właściwie poemat dramatyczny Jana Kasprowicza p. t. „Bunt Napierskiego“, posiadający niezwykłą wartość literacką. Dyrekcya nie szczędzi kosztów znacznych bardzo, aby sztukę tę, mianowicie sceny zbiorowe, w które „Bunt“ obfituje, wystawić wspaniale i znakomicie.

„Bunt Napierskiego“ obejmuje znany epizod z czasów Władysława IV-go, kiedy to niejaki Napierski, głosząc, iż jest synem naturalnego króla, zbuntował górali koło Czorsztyna i potykał się z wojskiem. — Na wystawienie „Buntu Napierskiego“ ma sam autor zjechać do Poznania.

Cennik illustrowany zegarów, biżuteryi i alfenidy firmy *D. Dybizbański-Huebner w Poznaniu*, przy ul. Wiktoryi 10, wykonany artystycznie w drukarni „Pracy“, dołączamy do dzisiejszego numeru „Pracy“ dla Czytelników m. Poznania i przedmieść. Firma powyższa istniejąca od lat 60, znana jest zaszczytnie ze swych pierwszorzędnych wyrobów i cen rzetelnych, a powiększywszy znacznie skład swój we własnym domu, zaopatrzyła go w jak najgustowniejsze i najmodniejsze przedmioty w dziale zegarmistrzowskim, złocie i alfenidzie.

Karty korespondencyjne z pięknemi wierszami patryotycznemi, także kolorowe, poleca bardzo tanio rodak nasz p. *E. Poradowski w Nakle* (Nakel — Netze) w Poznańskiem, właściciel drukarni i introligatorni. Wykonuje także wszelkie zamówienia na karty z widokami miast, karty humorystyczne, noworoczne i t. d.

Prymicye. W ubiegły poniedziałek odprawił ks. Roman Górski pierwszą uroczystą mszą św. w kościele Przemienienia Pańskiego w Poznaniu w asystencyi ks. proboszcza dr. Wyczyńskiego i księży neopresbyterów Sramkiewicza i Malińskiego.

Ślub. Dnia 14-go b. m. pobłogosławiony został w kościele świętego Marcina w Poznaniu związek małżeński pomiędzy panną Maryą Szmytkowską z Pniew, siostrą zaszczytnie znanego fabrykanta likierów i wódek zdrowot.

nych, pana Wojciecha z Pniew i pana Wincentego, szanowanego naszego współobywatela, administratora tygodnika „Praca“, a panem Tomaszem Łaganowskim, kupcem z Poznania. — Gości podejmowali ze staropolską gościnnością na sali hotelu Wiktoryi powyżej wymienieni bracia panny młodej. — Szczęść Boże młodej i dorodnej parze na tem nowem polu życia!

Ślub. W Jarząbkowie pod Gnieznem 7 b. m. ks. proboszcz Józewicz z Żydowa pobłogosławił związek małżeński między panną Maryą Pampuch, córką Antoniostwa Pampuchów i prawnuczką prof. gimnazyum Trzemeszyńskiego ś. p. Pampucha, a p. Sylwestrem Cembrowiczem, bratankiem ś. p. ks. proboszcza Sylwestra Cembrowicza. Muzykę kościelną zaintonował szwagier młodego pana, dyrektor muzyki, p. Ign. Gorzeniawski z Gniezna. Wesele podejmowali rodzice panny młodej staropolskim gościnnym zwyczajem. Gości było blizko sto osób i bawiono się trzy dni. Szczęść Boże młodej parze!

Daleko i szeroko jest podziwiana fabryka cygar i papierosów naszego rodaka, p. P. Pokory w Wejherowie (Neustadt Westpr.), należąca do pierwszorzędnych fabryk w całym kraju. Z małemi siłami założona była ta firma w roku 1888, a dzisiaj znajduje się takowa w kilku wspaniałych gmachach fabrycznych z wielu doskonałemi machinami i z jak najlepszem urządzeniem, zatrudniając kilka set dobrze wyćwiczonych robotników. Taki postęp jest bardzo rzadki, lecz bardzo chwalebny, tak dla zarządu tej firmy, jako też dla jej wyrobów. Jako osobliwą specyalność wyrabia ta firma nowe, przez urząd patentowy w Berlinie potwierdzone papierosy i cygarylosy, zaopatrzone chwytaczem nikotyny, dla tego przy używaniu zdrowiu nieszkodzące. Wyroby p. Pokory są tanie a przytem dobre. Jesteśmy przekonani, że każdy, kto zamówi towary kontent z nich będzie. Zarazem zwracamy uwagę na załączony do numeru niniejszego „Cennik“ odnośnej fabryki.

Skład cygar, papierosów i tytuni jest natychmiast na sprzedaż w Chełmży, Prusy Zachodnie. Oferty przyjmuje p. M. Grzegorzewski tamże; bliższe informacye zamieszczone są w anonsie odnośnym.

Jeżyce. Koncert Bolci Marcinkowskiej, młodziuchnej pianistki z współudziałem jej ojca, artysty-skrzypka i jej brata (śpiew), z którego dochód przeznaczony jest na budowę nowych organów dla tutejszego kościoła, odbędzie się nieodwołalnie dnia 20 bm. (w poniedziałek) o godz. 8 wieczorem na sali p. Wendlanda.

Mamy nadzieję, że koncert „Bolci“ — naszego rodzinnego talentu — o której grze powagi na polu muzycznem nader pochlebnie się wyrażają i rokują jej wielką przyszłość, dalej — ów wzniosły cel — znajdzie ogólne przyjęcie i sprowadzi słuchaczy w pokaźnej liczbie na salę p. Wendlanda o co uprasza

Komitet.

Gniezno. Święcenia kapłańskie otrzymali w ubiegłą niedzielę w katedrze tutejszej następujący dyakoni: Adamski Stanisław, Bratkowski Stefan, Durzyński Czesław, Fuhrmann Leon, Garske Józef, Górski Roman, Kamiński Stanisław, Kiliński Władysław, Klein Kazimierz, Kosznik Brunon, Kowalski Marceli, Kozierowski Stanisław, Lipowicz Stanisław, Maliński Kaźmierz, Matzanke Juliusz, Miśkiewicz Czesław, Mittelstaedt Bernard, Nawrocki Ewaryst, Nejczyk Tomasz, Neumann Kaźmierz, Nieradziński Leon, Panewicz Roman, Prokop Karol, Rosenberg Ludwik, Ruszczyński Franciszek, Rydlewski Edmund, Simiński Teodor, Sledziński Juliusz, Sramkiewicz Kaźmierz, Sucharski Edward, Tomaszewski Michał i Zborowski Henryk. Subdyakonat otrzymał Rogaliński Mieczysław.

Pleszew, dnia 11. 11. 99. Bardzoby się w mieście naszem przydał dzielny, w całem tego słowa znaczeniu kotlarz, któryby mógł samodzielnie interes prowadzić, gdyż ma pole po temu. W okolicy gorzelni pełno, a wszystkie przeważnie polskie. Mamy tutaj jednego starego Niemca — lecz tenże już prac nie przyjmuje — drugi, Polak, także się nie trudni tym zawodem, ponieważ żona jego prowadzi interes stroi, musimy się przeto udawać do innych miast i to nieraz ze stratą. Miasto i okolica dopiszą — tylko trzeba być na miejscu i pracy pilnować a można by świetny interes zrobić.

Agentów naszych z prowincyi, którzy dotychczas nie nadesłali prenumeraty, wzywamy niniejszem, ażeby w przeciągu 8 dni takową łaskawie nadesłać raczyli, gdyż w przeciwnym razie dalszych numerów wysyłać nie będziemy.

Szanownych Czytelników, którzy zaabonowali „Pracę“ u odnośnych agentów, uwiadamiamy, że w danym razie zgłosić się winni z swemi pretensyami do swych agentów, a nie do nas, gdyż my za agentów nie bierzemy żadnej odpowiedzialności.

Administracya „Pracy“.

Humorystyka.

Pogrzeb.

Biją, biją we dzwony
Na wieżycy kościoła,
A lud biegnie zdziwiony,
Gdzie głos dzwonu go woła.

Dziwny orszak ktoś wiedzie —
Pozłociste mundury —
Hrabia Clary na przedzie,
Same grube figury.

Kogóż oni chowają?
Kto się z życiem rozstawa?
Ach, umarła, wzdychają,
„Językowa ustawa“.

J. N. B.

Przy pogawędce.

— Za co pan dziedzic tak nieładnie nazwał swego psa?

— Cóż chcesz?... Vierfus — bardzo ładna nazwa.

— Ja bym go prędzej nazwał „Antysemitnik“, bo on ciągle warczy i wyszczerza zęby na żydki.

Nierówne prawa.

— Powiedz, luby, czem kobieta
Bywa, gdy już jest kochanką,
Ideałem, westchnień celem?
— Katem bywa i tyranką...

— Powiedz luba, czem mężczyzna
Bywa, gdy już jest kochanym,
Ideałem, westchnień celem?
— Niewolnikiem skrępowanym...

Miłość bliźniego.

„Kochaj bliźniego“ — to wspaniałe zdanie
Przed laty każdy miał podobno w cenie,
Dziś się świat równie zgadza na kochanie,
Ale maleńkie robi zastrzeżenie.

Odmienną postać przybrała zasada
W dzisiejszej czasów pozytywnych dobie:
„Kochałbym bliźnich — każdy dziś powiada
Lecz chciałbym wiedzieć co na tem zarobię“.

Z teki bajarza.

Człowiek rodzi się na to, aby umrzeć potem,
A zaś samo życie jest tylko kłopotem!
Tak mędrkował filozof i w tych haseł skutku
Na lampkę spirytusu poszedł po cichutku.

Mówią, że człek kowalem jest własnego losu.
Hm... warta jest zachodu takowa robota;
Myślę tylko, w tej prawdzie poszukując sosu:
Ażeby być kowalem, trzeba wszakże, młota.

Głupia kura chciała, siedząc na swej grzędzie,
Dyktować ztąd światu jakoweś orędzie,
Lecz nie upłynęła i godzina cała,
Już się pyszna kura w garnku gotowała...

Pigmalion.

Krewki dziedzic.

— Przyszedłem panu dziedzicowi podziękować za służbę.

— Czyś oszalał, bałwanie?

— Znowój: bałwanie! „Wstawaj, bałwanie!...“ „rusz się bałwanie!...“ „podnieś, bałwanie!“ „podaj, bałwanie!“ Ja już z temi bałwanami wytrzymać nie mogę.

— Takiś ambitny?... o to ci więc chodzi?

— A juści.

— No to głupstwo!... Wyrzucimy bałwanów. A przy „cymbale“ zostaniesz?

— A no, kiej tak, to i ostanę przy panu dziedzicu.

Pomysłowy pachciarz.

— Ny, Wojtek przynieś mi parę gęsi, ja dobrze zapłacę.

— Cóż to zydzie!... Chces, żebym kradł!...

— Takie głupie gadanie!... Po co ty masz kradnąć?! Ty wcale nie kradnij!.. Ty weź sobie parę gęsi od dziedzica na pamiątkę.

„Stara miłość nie rdzewieje!“
To od wieków prawda jara,
Lecz, niestety, tak się dzieje
że rdzewieje.... miłość stara!...

Pierniki

na nadchodzącą Gwiazdkę

poleca

A. Markiewicz

fabryka pierników w Kostrzynie

premiowana na wystawach w Poznaniu (1895), w Gnieźnie (1896), w Berlinie (1896) w Dyseldorfie (1896). 966

Do nabycia w każdym składzie łakoci i korzeni.



Założony 1845 r.

Najstarszy warsztat i skład obuwia

w Poznaniu

poleca bardzo przydatne na porę zimową:

Buty z cholewami pilśniowemi lub owczemi skórkami podszyte, buty długie do polowania lub gospodarstwa nieprzemakalne.

Nowość! Buciki Krügera, patentowane, jednem pociągnięciem sznurówki otwierane i zamykane. Jedyny na Poznań.

Nowość! Buciki Lawe'go warsztacikowe niesłychanie wygodne dla cierpiących na nogi.

Trzewiki balowe w różnych kolorach na pompadurkach. nadzwyczaj piękne, z fabryk szwajcarskich i wiedeńskich.

Kalosze prawdziwe ruskie z orzełkiem z Petersburga, najlepsze.

Sudoral! z apteki Petersa w Dreznie bardzo skuteczny środek ku poceniu się nóg i innych części ciała, zawsze na składzie, fl. 1 Markę, przepis gratis.

Wszelkie zamówienia i reparacye wykonuję spiesznie i akuratnie. 160

Ceny nie drogie! *Usługa rzetelna!*

K. MAY, Wilhelmowska ul. 21,

obok hotelu Rzymskiego naprzeciw Francuzkiego.



Gazowe

światło żarowe

zakłada po najtańszej cenie 931

J. Popławski,

św. Marcin 64,

skład maszyn do szycia i kołowcy.

Ucznie z dobrem wychow. mogą się zgłosić.

J. K. Jasielski

adwokat ludowy

(pozasł. aktuaryusz sądowy)

w Poznaniu,

Stary Rynek 88 II ptr.

spisuje kontrakty, skargi, podania do wszelkich władz, obrony w sprawach kryminalnych, informacye w sprawach procesowych, reklamacye do podatku i wojskowości i wykonuje wszelkie prace piśmienne.

Nauczyciel w mieście, wdowiec 39 lat stary, z dwoma dziećmi 10 i 5 lat, pobierający obecnie dochodu 2000 m. i posiadając majątku 8000 m. poszukuje 972

żony.

Reflektantki, panny lub bezdzietne wdowy, odpowiednim majątkiem i w starszym wieku zechcą łaskawie swoje oferty, jeżeli możebnem, z fotografią, z zaufaniem nadesłać do „Pracy" pod lit. A. Z. 777. Rzecz traktuje się poważnie i honorowo. 972

Przeniosłem się ze Swarzędza

do Poznania

i mieszkam 975

narożn. Jezuickiej i Wodnej.

Dr. med. Wendland.

Oprawa obrazów i szkłarnia.

Leworski i Karlewicz

Poznań, ulica Jezuicka Nr. 1

polecają się do wykonywania

wszelkich prac pozłotniczych.

Specyalność: 929

odnawianie ołtarzy, ambon, chrzcielnic, figur, obrazów, luster itp.

Ceny nizkie! Praca rzetelna!

Skład obrazów, fabryka ram

Browar parowy Kawiary-Gniezno

P. Górski

poleca Szanownej Publiczności swe jako najlepsze uznane wyborne

piwa

a mianowicie 82

jasne składowe i ciemne eksportowe

po cenach nader umiarkowanych.

Ucznia

z odpowiednim wykształceniem przyjmie zaraz 971

M. Jankowski,

drogerya

w Grodzisku.

Chłopca

zdatnego do biura, poszukuje

Drwęski i Langner,

Rycerska 38.

Światło acetylowe



z fabryki niem. Tow. gazu acetylowego w Berlinie, nadające się do oświetlenia pałaców, wsi, lokalów publicznych i balkonów. 87

Najtańsze oświetlenie siły 16-tu świec na godzinę za 1,2 fen.

Najtańsze aparaty 1—4 świateł od 130 mk. począwszy, od 4—6 świateł 180 mk. i t. d.

Gwarantując za dokładne wykonanie i rzetelną usługę, polecam się względom Szanownej Publiczności.

Główny zastępca

St. Smorawiński,

fabryka krat,

Poznań, ul. Berlińska nr. 15.

Najprzedniejsze likwory, wódki deserowe, ratafie, koniaki, rumy i araki polecają

Marczyński & Kloskowski

Fabryka likworów.

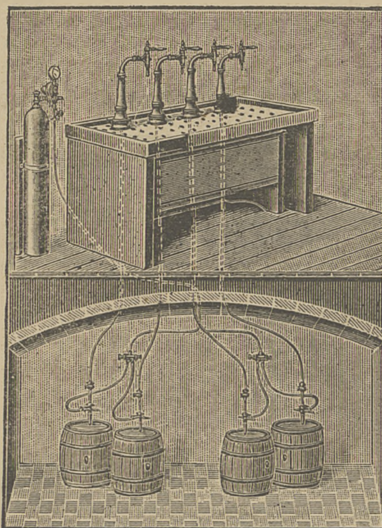
Import koniaków, rumów i araków.

Poznań, ulica Berlińska Nr. 15.

Józef Zawitaj,

Bydgoszcz, ulica Dworcowa Nr. 65.

Lejarnia bronzu i mosiądzu.



Fabryka aparatów do piwa

najnowszej konstrukcyi podług przepisu regencyjnego. Moje aparaty można czyścić szczotkami bez żadnych kosztów i mozołu. Wszelkie reparacye wykonuję dobrze i tanio. Cenniki wysyłam darmo. 892

Dla narzeczonych!

Kto wiele pieniędzy zaoszczędzić pragnie, kupując 808

ślubne pierścionki lub zegarek,

ten niech zażąda mego illustrowanego katalogu.

Kto zamawia ślubne złote pierścionki u mnie widzi najdokładniej, co kupujo, mając każdą szerokość, wagę, próbę oraz cenę pierścionków w katalogu dokładnie podane.

Na zegarkach u mnie kupionych umieszczam darmo każdy portret.

Bliższe szczegóły w cennikach, które darmo i franko przesyłam.

Zamówienia proszę przesłać pod adresem:

J. Strzelecki, Mogilno.

Wielki skład zegarków i bizuteryi w Inowrocławiu i Mogilnie.

(20) **KODEKS CYWILNY**

na polskie przełożył
W. ZIELIŃSKI, sekretarz sądu ziemiańskiego.

§ 683. Jeżeli podjęcie sprawowania cudzych interesów wychodzi na korzyść osoby, dla której się interes sprawuje i odpowiada istotnej albo domniemalnej jej woli, to osoba interes sprawująca może, jak osoba z polecenia działająca, zażądać zwrotu swych nakładów. W przypadkach § 679, służy ta pretensya osobie interes sprawującej także wtenczas, jeżeli podjęcie sprawowania interesów pozostaje w sprzeczności do woli osoby, dla której interes się sprawuje.

§ 684. Jeżeli warunki § 683 nie zachodzą, natenczas jest osoba, dla której interes się sprawuje, w myśl przepisów opiewających o wydaniu zysków z nieusprawiedliwionego zbogacenia obowiązaną do wydania osobie interes sprawującej, tego wszystkiego, co przez sprawowanie interesów osięga.

Jeżeli osoba, dla której interes się sprawuje, sprawowanie interesów zatwierdzi, to osobie interes sprawującej przysługuje pretensya § 683 objęta.

§ 685. Osobie interes sprawującej nie przysługuje żadna pretensya, jeżeli ona nie miała zamiaru żądać wynagrodzenia od osoby, dla której interes się sprawuje.

Jeżeli rodzice albo przodkowie swym potomkom, albo ci owym dają utrzymanie, to w razie wątpliwości, należy mniemać, że nie było zamiaru domagać się wynagrodzenia od osób utrzymanie odbierających.

§ 686. Jeżeli osoba interes sprawująca jest w błędzie co do osoby, dla której interes sprawuje, to ze sprawowania interesów wynikają uprawnienia i zobowiązania dla tej osoby, dla której w istocie interesa się sprawuje.

§ 687. Przepisów §§ 677 aż do 686 objętych nie zastósowuje się, jeżeli ktoś sprawuje cudzy interes w tem mniemaniu, że to jest jego własny interes.

Jeżeli ktoś obchodzi się z obcym interesem, jak z własnym, chociaż wie, że nie jest do tego uprawnionym, to osoba, dla której interes się sprawuje, może dochodzić pretensyi z §§ 677, 678, 681, 682 wynikających. Jeżeli osoba, dla której interes się sprawuje, tych pretensyi dochodzi, to jest ona osobie interes sprawującej, wedle osnowy § 684 zdanie 1 obowiązaną.

TYTUŁ DWUNASTY.

Zachowywanie.

§ 688. Kontraktem o zachowywanie zobowięzuje się zachowawcę do zachowywania rzeczy ruchomej, przez składającego mu oddanej.

§ 689. Wynagrodzenie za zachowywanie uważa się jako z domniemaniem umówione, jeżeli zachowywania, wedle okoliczności, tylko za wynagrodzeniem spodziewać się należy.

§ 690. Jeżeli zachowywanie podejmuje się bezpłatnie, to zachowawca winien odpowiadać tylko za taką staranność, jakiej dokłada w swych własnych sprawach.

§ 691. W razie wątpliwości niema zachowawca prawa do składania złożonej rzeczy u osoby trzeciej. Jeżeli złożenie rzeczy u trzeciej osoby jest dozwolonem, natenczas winien zachowawca odpowiadać tylko za winę przy tem składaniu na niego spadającą. Zachowawca jest według osnowy § 278 odpowiedzialnym za winę pomocnika.

§ 692. Zachowawca jest uprawnionym do zmienienia sposobu zachowywania, jeżeli wedle zachodzących okoliczności wolno mu mniemać, że składający, gdyby znał położenie rzeczy, zgodziłby się na tę zmianę. Zachowawca winien składającego przed zmianą zawiadomić i, jeżeli odroczenie nie jest połączone z niebezpieczeństwem, oczekiwać jego decyzyi.

§ 693. Jeżeli zachowawca w celu zachowywania czyni nakłady, jakie wedle okoliczności, wolno mu uznać za potrzebne, to składający jest obowiązanym do wynagrodzenia.

§ 694. Składający winien zachowawcy wynagrodzić szkodę przez istotę złożonej rzeczy powstającą, chyba że o stanie niebezpieczeństwem grożącym, przy składaniu ani nie wie ani też o nim wiedzieć nie musi, albo chyba że zachowawcy o nim doniesie, lub zachowawca bez doniesienia o nim wiedział.

§ 695. Składający może każdego czasu zażądać zwrotu rzeczy złożonej nawet wtenczas, jeżeli dla zachowania pewien czas jest wyznaczonym.

§ 696. Jeżeli czas na zachowywanie nie jest oznaczonym, to zachowawca każdego czasu może domagać się odbioru złożonej rzeczy. Jeżeli czas oznaczono, to wolno mu domagać się przedwczesnego odebrania rzeczy tylko wtenczas, jeżeli zachodzi ważny powód.

§ 697. Zwrot rzeczy złożonej ma odbywać się w tej miejscowości, w której rzecz miała być zachowywaną; zachowawca niema obowiązku odnoszenia rzeczy składającemu.

§ 698. Jeżeli zachowawca złożone pieniądze dla siebie użytkuje, to jest obowiązanym do oprocentowania ich od czasu ich zużytkowania.

§ 699. Składający winien umówione wynagrodzenie przy końcu zachowywania uiścić. Jeżeli wynagrodzenie jest ustanowionem podług pewnych okresów, to należy je uiszczać po upływie poszczególnych okresów.

Jeżeli zachowywanie skończy się przed upływem czasu dla niego naznaczonym, natenczas może zachowawca zażądać takiej części wynagrodzenia, jaka dotychczasowym jego usługom odpowiada, o ile z układów o wynagrodzenie nic innego nie wynika.

§ 700. Jeżeli się składa rzeczy zamienne w ten sposób, że własność ich ma przejść na zachowawcę, a tenże ma być zobowiązanym do oddania rzeczy równego rodzaju, dobroci i ilości, natenczas zastósowuje się przepisy o pożyczce opiewające. Jeżeli składający pozwala zachowawcy spotrzebować złożone rzeczy zamienne, to przepisy opiewające o pożyczce zastósowuje się od tej chwili, w której zachowawca te rzeczy sobie przywłaszcza. W obydwóch przypadkach jednakże stósują się, w razie wątpliwości, czas i miejsce zwrotu do przepisów o kontrakcie zachowania stanowiących.

Przy składaniu papierów wartościowych jest umowa w ustępie pierwszym oznaczonego rodzaju, tylko wtenczas ważną, jeżeli ją wyraźnie się zawiera.

TYTUŁ TRZYNASTY.

Wnoszenie rzeczy do oberżystów.

§ 701. Oberżysta, który obcych dla zarobku przyjmuje w gościnę, winien gościowi, którego zajmując się tym procederem przyjmuje, wynagrodzić szkodę, jaką gość ponosi przez utratę albo uszkodzenie rzeczy do niego wniesionych. Obowiązek do wynagrodzenia nie zachodzi wtenczas, jeżeli szkodę gość, jakiś jego towarzysz albo osoba przez gościa u siebie przyjęta, spowodują, albo jeżeli szkoda wskutek istoty rzeczy lub wyższej mocy powstaje.

Jako wniesione uważa się te rzeczy, które gość oddał oberżyście albo ludziom oberżysty do przyjmowania rzeczy ustanowionym, albo których według okoliczności, jako do tego ustanowionych uważać należało, lub też te rzeczy, które gość przyniósł do miejsca przez te osoby wskazanego albo, w braku wskazania, do miejsca na to przeznaczonego.

Obwieszczenie, mocą którego oberżysta odpowiedzialności nie przyjmuje, jest bezskutecznem.

Niniejszy kodeks cywilny wyjdzie w osobnej książce i razem z niemieckim tekstem będzie kosztował 2 marki. Już teraz można zapisywać to książkowe wydanie **w księgarni „Katolika“ w Bytomiu.**

☛ Do odcięcia! ☚

§ 702. Za pieniądze, papiery wartościowe i kosztowności odpowiada oberżysta w myśl § 701 tylko do wysokości jednego tysiąca marek, chyba że znając ich własność jako rzeczy wartościowych, na schowanie je przyjmuje albo przechowania odmówi, albo że on lub jego ludzie szkodę zawinią.

§ 703. Pretensya przysługująca gościowi na mocy §§ 701, 702 upada, jeżeli gość, o stracie lub uszkodzeniu wiadomość powziąwszy, oberżysty bezzwłocznie nie uwiadomi. Pretensya ta nie upada, jeżeli rzeczy były oberżyście do przechowania oddane.

§ 704. Oberżyście służy względem jego pretensyi za mieszkanie i za inne, gościowi do zaspokojenia jego potrzeb świadczone usługi, włącznie wykładów, prawo zastawu co do rzeczy przez gościa wniesionych. Przepisy § 559 zdanie 3 i §§ 560 aż do 563 obowiązujące pod względem prawa zastawu, jakie wynajemcy przysługuje, zastósowuje się odpowiednio.

TYTUŁ CZTERNASTY.

Stowarzyszanie się.

§ 705. Kontraktem stowarzyszenia obowiązują się stowarzyszeni nawzajem do popierania osiągnięcia jakiegoś wspólnego celu w sposób kontraktem określony, w szczególności do wnoszenia składek umówionych.

§ 706. W braku innej umowy winni stowarzyszeni wnosić równe składki.

Jeżeli składka ma polegać na rzeczach zamiennych albo zużywalnych, to należy mniemać, w razie wątpliwości, że owe rzeczy mają stać się wspólną własnością stowarzyszonych. To samo obowięzuje co do niezamiennych i niezużywalnych rzeczy, jeżeli one mają być składane podług ocenienia, które nie tylko do podziału zysków jest przeznaczonem.

Składka stowarzyszonego może także polegać na świadczeniu usług.

§ 707. Do podwyższania umówionej składki albo do uzupełniania udziału przez stratę obniżonego nie ma stowarzyszony żadnego obowiązku.

§ 708. Stowarzyszony winien przy spełnianiu zobowiązań na nim ciążących tylko za taką staranność odpowiadać, jakiej zwykł dokładać w swych własnych sprawach.

§ 709. Sprawowanie interesów towarzystwa należy wspólnie do stowarzyszonych; do każdego interesu jest potrzebnem przyzwolenie wszystkich stowarzyszonych.

Jeżeli podług kontraktu stowarzyszenia ma rozstrzygać większość głosów, to należy, w razie wątpliwości obliczać większość podług liczby stowarzyszonych.

§ 710. Jeżeli w kontrakcie stowarzyszenia polecono sprawowanie interesów jednemu albo więcej stowarzyszonym, natenczas jest reszta stowarzyszonych od sprawowania interesów wykluczoną. Jeżeli sprawowanie interesów więcej stowarzyszonym polecono, to zastósowuje się odpowiednio przepisy § 709.

§ 711. Jeżeli sprawowanie interesów podług kontraktu stowarzyszenia do wszystkich albo do kilku stowarzyszonych w ten sposób należy, że każdy z nich ma prawo sam działać, natenczas może każdy sprzeciwiać się przedsiębraniu jakiegoś interesu przez drugiego. W razie protestu musi interes być zaniechanym.

§ 712. Upoważnienie do sprawowania interesów któremu ze stowarzyszonych kontraktem stowarzyszenia nadane, może mu być przez uchwałę jednogłośną, jeżeli zaś podług kontraktu stowarzyszenia większość rozstrzyga, przez uchwałę większości reszty stowarzyszonych odebranem, jeżeli zachodzi ważny powód; takim ważnym powodem jest w szczególności ciężkie przekroczenie obowiązków albo niezdolność do prawidłowego sprawowania interesów.

Stowarzyszony może też ze swej strony wypowiedzieć sprawowanie interesów, jeżeli zachodzi ważny powód; przepisy § 671 ust. 2, 3, o zleceniu stanowiące, zastósowuje się odpowiednio.

§ 713. O prawach i obowiązkach stowarzyszonych, którzy interesa załatwiają, stanowią przepisy §§ 664 aż do 670, pod względem zlecenia obowięzujące, o ile ze stósunku stowarzyszenia nic innego nie wynika.

§ 714. O ile któremu ze stowarzyszonych podług kontraktu stowarzyszenia służy prawo do sprawowania interesów, to jest on w razie wątpliwości także umocowanym do zastępowania drugich stowarzyszonych wobec osób trzecich.

§ 715. Jeżeli stowarzyszony jest w kontrakcie stowarzyszenia umocowanym do zastępowania drugich stowarzyszonych wobec osób trzecich, to moc zastępczą można mu odebrać tylko odpowiednio do § 712 ust. 1, a jeżeli jej w połączeniu z upoważnieniem do sprawowania interesów udzielono, tylko razem z temże upoważnieniem.

§ 716. Stowarzyszony może wtenczas nawet, jeżeli jest wykluczonym od sprawowania interesów, o sprawach towarzystwa osobiście się informować, książki i papiery towarzystwa przeglądać i z nich sporządzać sobie wykazy dowodzące stanu majątkowego stowarzyszenia.

Umowa to prawo wykluczająca albo ograniczająca, nie sprzeciwia się dochodzeniu tego prawa, jeżeli zachodzi powód do przypuszczenia, że interes nierzetelnie się prowadzi.

§ 717. Pretensye, jakie stowarzyszonym ze stósunku stowarzyszenia nawzajem przysługują, nie są przelewalne. Wyjątek stanowią pretensye stowarzyszonemu ze sprawowanych przez niego interesów mu służące, o ile ich zaspokojenia może żądać przed podziałem, jak również i pretensye o udział w zysku albo o to, co stowarzyszonym na mocy podziału się należy.

§ 718. Składki stowarzyszonych i przedmioty przez prowadzenie interesu dla towarzystwa nabyte, stają się wspólnym majątkiem stowarzyszonych (majątek stowarzyszenia).

Do majątku stowarzyszenia należy także to, co się nabywa na mocy jakiegoś do majątku stowarzyszenia się zaliczającego prawa, albo tytułem uzupełnienia za zniszczenie, uszkodzenie albo usunięcie jakiegoś do majątku towarzystwa należącego przedmiotu.

§ 719. Stowarzyszony nie może rozporządzać swym udziałem w majątku towarzystwa i poszczególnemi, do tegoż majątku należącemi przedmiotami; stowarzyszony nie ma prawa domagać się podziału majątku.

Z pretensyą, która należy do majątku stowarzyszenia, nie może dłużnik kompenzować pretensyi od poszczególnego stowarzyszonego mu się należącej.

§ 720. Przynależność jakiejś, w myśl § 718 ust. 1 nabytej pretensyi do majątku stowarzyszenia, winien dłużnik dopiero wtenczas wobec siebie uznać za ważną, gdy o przynależności się dowie; przepisy §§ 406 aż do 408 zastósowuje się odpowiednio.

§ 721. Stowarzyszony może się domagać zamknięcia rachunków i podziału zysków i strat dopiero po rozwiązaniu stowarzyszenia.

Jeżeli stowarzyszenie przez dłuższy czas ma istnieć, to zamknięcie rachunków i podział zysków powinny się odbywać, w razie wątpliwości, na końcu każdego roku obrachunkowego.

§ 722. Jeżeli udziały stowarzyszonych pod względem zysków i strat nie są oznaczone, to każdy stowarzyszony bierze równy udział w zyskach i stratach, bez względu na rodzaj i wysokość swej składki.

Jeżeli tylko udział w zyskach albo stratach jest oznaczonym, natenczas obowięzuje to oznaczenie, w razie wątpliwości, pod względem zysków i strat.

(Ciąg dalszy nastąpi).